12 stron

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁE[illegible]O-LITERACKI

Rok 2 Łódź, [illegible] lipca 1946 r. Nr 28 (46)

[illegible] zł.
(9 zł. + 1 z[illegible] Słowa Polskiego)

...Ujrzysz na świętej fortecy
Wyżej złoconych tyarą krużganków
Błyszczące widma — by świętych młodzianków —
Pazastrzelane nikodemnie... przez plecy,
Ujrzysz ohydną v[illegible]eść bałwanów
Ujrzysz męczeńs...o s[illegible]uszne ducha światów.
Może się spotkasz z ojcem twoich katów
I dasz mu pierw[illegible] krok — do Watykanów!

Juliusz Słowacki.

ANKIETA „ÉSPRIT" O KOMUNIZMIE

W „Ésprit", miesięczniku wydawanym w Paryżu przez przywódcę personalistów francuskich Emmanuela Mounier ogłoszono ankietę: „Le communisme devant nous" („W obliczu komunizmu"). Odpowiedzi na ankietę świadczą o wielkim zainteresowaniu młodego pokolenia intelektualistów francuskich dla sprawy komunizmu.

Poniżej publikujemy dwie wypowiedzi, zamieszczone w Nr 4 „Esprit": komunisty, G. Mounin i katolika, P. Verroy.

GEORGES MOUNIN

DLACZEGO NADAL JESTEM KOMUNISTĄ

tłum. Paweł Hertz

Pytać kogoś o powody dla których został komunistą, to znaczy stawiać zagadnienie determinizmu w psychologii; zagadnienie wolności.

Klasyczny racjonalista w tych sprawach zmniejsza rolę środowiska tylko po to, aby zwiększyć znaczenie dziedziczności. Jeśli jestem komunistą, to możnaby pomyśleć, że jestem nim bez powodu.

*

Nie sądzę, że stałem się komunistą naskutek usposobienia. Choć jestem pochodzenia normandzkiego, z niewielką domieszką pikardzką, nie wydaje mi się, by na rodzaj mego życia mieli wpływ Wikingowie lub Kalwin — o tyle, o ile Kalwin byłby wcieleniem pikardyjczyka. Jak daleko sięgam pamięcią, widzę grzeczne dziecko o minimalnym poczuciu ryzyka, młodzieńca podobnego do innych, kochającego bardziej wiatr niż burzę, entuzjastycznego, utopijnego, i przytem poważnego. Mając lat osiemnaście, przed przeczytaniem „Nourritures Terrestres", postanowiłem rzecz prosta zrealizować wszystkie moje sny; lecz był to już skutek innych wpływów. Komunizm nie był dla mnie jątrzącym środkiem niezaspokojonych apetytów gwałtownego i burzliwego życia. Jeśli potrafiłem niekiedy podejmować szybkie postanowienia, i to takie, które decydują o całym życiu, to było to o wiele później; zdaję sobie dokładnie z tego sprawę, że tę umiejętność podejmowania czegokolwiek, do której z początku nic mnie nie skłaniało, zawdzięczam w wielkiej mierze partii.

Nie wstąpiłem do partii dla zaspokojenia namiętnej potrzeby walki i upominania się o należne prawa. Nie wiem, czy to naskutek mego usposobienia, czy dotkliwego przykładu mego pierwszego pracodawcy, czy może reakcji na wspomnienia dzieciństwa, które upłynęło w środowisku, gdzie nikt nie miał poprostu czasu na to, by być zawsze dobrym—jednak zawsze namiętnie kochałem dobroć, zawsze pragnąłem, by krótkie chwile, w których zjawiała mi się prawdziwa dobroć ,trwały jak najdłużej. Długi czas uważałem walkę — a zwłaszcza walkę polityczną wywoływaną przez tych, którzy nas kształtowali — za zajęcie dość brudne, od którego należało trzymać się zdaleka. Dziś, walka i upominanie się o słuszne prawa są dla mnie zadaniem koniecznym, i nie przyszłoby mi nawet na myśl, że można z nich zrezygnować dla takich czy innych upodobań. Lecz uczucia te nie pochłaniają mnie całkowicie.

Nie wydaje mi się również, by partia komunistyczna stanowiła dla mnie cichą przystań po burzy, wybrana wskutek zmęczenia. Nie wstąpiłem do partii znużony zbyt długą samotnością; ani też na skutek słabości, ani w celu ostatecznego rozstrzygnięcia — orzeł czy reszka — wiecznych wahań intelektualisty. Nie szło mi o kurację za pomocą zdyscyplinowania, ascetyzmu lub pokory. I choć, w kilka lat później, pilnie czytałem Malraux, jestem pewien, że nie wybrałem partii na skutek rewolucyjnego romantyzmu. Dobrze rozumiem Malraux, znam jego prawdziwą chorobę—Pascala—i sam na nią cierpiałem. Ale nigdy nie mogłem uważać działania, nawet tak solidnie ugruntowanego jak działanie marksistowskie, za środek znieczulający pascalowskiego raka.

A środowisko? Oczywiście: urodzić się w sercu hutniczej osady, widzieć ciężką pracę robotników, brać w niej samemu udział coraz to bardziej świadomie — to wszystko skłaniało do buntu — albo do podporządkowania się, albo do karierowiczostwa. A ja żywiłem się buntem — i to mając zarówno dwanaście, jak i dwadzieścia lat. Lecz do dwudziestego roku życia nie łączyłem mego buntu z powagą partii. Były wówczas wsie, gdzie nawet w 1936 roku, Partia Komunistyczna otrzymywała w wyborach siedem głosów, i to zupełnie anonimowych. Szkoły były wówczas tak zamknięte, że komunizm wydawał się tam kontynentem bardziej jeszcze odległym niż Związek Radziecki. Mogę stwierdzić z całą stanowczością, że mając lat dziewiętnaście nie otworzyłem jeszcze ani razu „Humanite". Wskutek tego, że jestem urodzony tam, gdzie jestem, powinienem przedewszystkiem zawsze uważać klasę robotniczą za swój świat i nie myśleć o tym, by ją por[illegible]ić, tak jak nie myśli się o tym, że można [illegible]ić brata, powinienem zawsze znać tę wielk[illegible]dzinę od wewnątrz, a nie przez samo tylko z nią przymierze, powinienem zawsze ją kochać, nie myśląc nawet o tym. Znając trud, z jakim inni to wszystko osiągali, znałem swoje możliwości.

Myślę, że moim środowiskiem, środowiskiem które miało decydujący na mnie wpływ, było przedewszystkim to, co czytałem. Lecz do czego nawiązać mój sposób czytania, moje upodobanie do racjonalizmu i do dowodu z jednej strony, a z drugiej—chęć uczenia się nie poto, żeby wiedzieć, lecz poto by żyć? Bezwątpienia, jeśli jestem dziś komunistą, to zawdzięczam to przedewszystkim racjonalizmowi szkoły i nauki francuskiej, a także humanizmowi francuskiej literatury. Od tej chwili umysł mój szedł od wpływu do wpływu, od ciekawości do ciekawości, od pewności do pewności. Przypominam sobie teraz jak przez mgłę, jakąś budującą broszurkę o Franciszku z Assyżu, czytaną przez długie niedziele w czasie nieszporów: nie chcę wyolbrzymiać, wśród czynników, które mnie urobiły, udziału powierzchownego katolicyzmu i głębszego chrześcijaństwa, które obumarły śmiercią naturalną w miarę tego, jak zdobywałem wiedzę, lecz jestem pewien, że ta broszurka była komunistyczną wodą na mój młyn. Przypominam sobie także mój namiętny kult dla Spartan; p[illegible]niej — znaczenie jakie przypisywałem [illegible]aint - Justowi, Proudhonowi, Komunie[illegible]yskiej. Nauki przyrodnicze i socjologia [illegible]iały problemy, których rozwiązania u[illegible] podręczniki. I tak rozpoczął się (mia[illegible] znaczenie zasadnicze) okres moich o[illegible] lektur. Gadeau de Kerville i Le Da[illegible]wierali wrota ateizmu; Epiktet i M[illegible]ureliusz uczyli indywidualizmu wyso[illegible]y; Rousseau poruszał dramaty nie[illegible]między ludźmi i umowy społecznej[illegible]y dyktował coś innego niż umiej[illegible]ej śmierci. Temu, że nie uznaw[illegible]rawdziwe nic, czegobym jako prawdziwe nie poznał, zawdzięczam, iż zawsze starałem się czerpać ze źródeł: podręcznik historii zręcznie ukrywał Proudhona, lecz ja sięgałem po „Capacité politique des classes ouvrieres"; Charles Gide załatwiał się w kilku słowach z Marksem, lecz ja sięgałem po „Kapitał". Mniej więcej w tym okresie zwróciłem uwagę na strajk robotników portowych — byłem jeszcze pod częściowym urokiem powagi „Libertaire'a". Rozpocząłem polityczną edukację od artykułu „anarchia" w Grand Larousse'ie! szkolei przeczytałem artykuł o Kropotkinie i o Bakuninie; przeczytałem „Discours aux Etudiant[illegible]" Elizeusza Reclus. Wreszcie czytałem „Vonde" — tygodnik, w którym Barbusse robił dla młodzieży z roku 1930 to, co Hérve ,Courtade i inni z „Action" robią dziś jeszcze lepiej. Wreszcie stanęło przede mną zagadnienie komunizmu, doszedłem do lektury „Ludwika Feuerbacha", „Anti - Dühringa". „Dziecięcej choroby lewicowości w komuniźmie", do „Zagadnień leninizmu": wciąż więcej przyczyn, by wybrać Partię Komunistyczną. Długa droga, która niczego nie dowodzi. Moje usposobienie, i środowisko mogły również dobrze doprowadzić do tego, że byłbym jednym z tych prawdziwych, anachronicznych chrześcijan, którzy namiętnie żyją swoją wiarą. Dlaczego zaledwie musnąłem marginesy anarchizmu, tak pełnego powabów? Wydawało mi się, że trochę się nim przejąłem: i przypominam sobie, że w okresie długiego bezrobocia w 1924 roku, gdy nocą kradłem żyto z pola i węgiel z pod wórza fabryki, miałem uczucie, że wymierzam sobie sprawiedliwość, że coś robię. Równie dobrze mogłem stać się socjalistą lub wolnomularzem. Kiedy o tym wszystkim myślę, zdaję sobie dobrze sprawę z tego, co mogło mnie pchnąć na drogę, ascetycznego, autoperfekcjonizmu w oparciu o esperanto, naturyzm i literaturę awangardową; wraz z maleńką zamkniętą grupką, dla zaspokojenia upodobania do wspólnoty i walki, jakie żywi wydelikacony rezerwista rewolucji. Życie człowieka współczesnego toczy się w środowisku, które potrosze graniczy ze wszystkimi środowiskami; studium wszystkich środowisk, jakie przeszły przeze mnie, albo przez jakie ja przeszedłem wystarczyłoby dla usprawiedliwienia prawie wobec każdego tego wyboru, jakiego dokonałem. Dlatego też właśnie należę do Partii. Odrzucając determinizm dziedziczności, a potem determinizm środowiska, wyglądam, jak mówi Jean Rostand, jak pan Jourdain, kiedy nie chciał ani wierszy ani prozy. „Marksizm — mówi Stalin — nie zaprzecza temu, że ludzie tworzą historię. Ale ludzie nie tworzą oczywiście historii według swego widzimisię, ani według tego, jak oni ją pojmują. Każde pokolenie znajduje zawsze warunki określone i ukształtowane w momencie, gdy się zjawia. I ludzie (Stalin mówi: wielcy ludzie, lecz to się odnosi również i do reszty) mają wartość o tyle tylko, o ile potrafią należycie zrozumieć te warunki i o ile wiedzą, jak je przekształcić. Oto dlaczego, według Marksa, nie należy ludziom przeciwstawiać warunków. Ci, którzy tworzą historię, to są właśnie ci ludzie, którzy zrozumieli

Oświadczenie pracowników kultury

„Dnia 4 lipca 1946 roku [illegible]lcach na skutek zorganizowanej akcji pogromowej zginęło 32 Żydów-obywateli Rzeczypospolitej Polskiej. Okoliczności pogromu i hasła rzucane przez podżegaczy świadczą wyraźnie, że w obecnej sytuacji politycznej ciemnota i zacofanie są wyzyskiwane w celu siania zamętu i anarchii oraz, nawet za cenę aktów najbardziej zbrodniczych, utrudniania odbudowy naszej państwowości.

Mamy prawo sądzić, że upozorowany pobudkami zemsty religijnej mord kielecki jest mordem politycznym. Raz jeszcze siły reakcyjne sięgnęły po swą starą, wypróbowaną broń: antysemityzm. Sięgnęli po nią na wezwanie agitatorów ludzie, którzy do niedawna jeszcze sami cierpieli najstraszniejsze prześladowania ze strony duchowych mistrzów polskiego faszyzmu — hitlerowskich ideologów nienawiści rasowej.

Fakt, że podczas wypadków kieleckich ciemny zabobon, wywołany z mroków średniowiecza, posłużył za narzędzie podburzania tłumu — rzuca smutne światło na poziom umysłowy części naszego społeczeństwa i napełnia niepokojem tych wszystkich, którzy związali swe usiłowania ze sprawą odrodzenia moralnego narodu.

Wstrząśnięci do głębi nową niepoczytalną zbrodnią popełnioną na ocalonych z obozów hitlerowskich Żydach, polscy pracownicy kultury stwierdzają konieczność bezkompromisowej walki z nowymi odmianami faszyzmu w Polsce.

W trosce o przyszłość moralną naszego kraju, pragnąc uchronić Polskę od powrotu czasów pogardy, z których wyszliśmy tak niedawno, wzywamy społeczeństwo do solidarnego potępienia czynów niezgodnych z żadną moralnością, niezależnie od poglądów politycznych.

Kazimierz Brandys, literat
Władysław Broniewski, literat
Stanisław Brucz, literat
Edward Csato, publicysta
Dobiesław Damięcki, artysta dram.
Władysław Daszewski, art. plastyk
Natalia Gąsiorowska, prof. U. Ł.
Wanda Grodzieńska, literatka
Paweł Hertz, literat
Jan Huszcza, literat
Mieczysław Jastrun, literat
Tadeusz Kotarbiński, rektor U. Ł.
Władysław Krasnowiecki, reżyser
Jan Aleksander Król, literat
Eryk Lipiński, artysta plastyk
Ryszard Matuszewski, literat
Anatol Mikułko, publicysta
Zofia Nałkowska, literatka
H. Nałkowska-Bickowa, rzeźbiarka
Stanisław Ossowski, prof. U. Ł.
Maria Ossowska, prof. U. Ł.
Leon Pasternak, literat
Stanisław Piętak, literat
Mieczysław Piotrowski, art. plastyk
Seweryn Pollak, literat
Jan Rojewski, literat
Adolf Rudnicki, literat
Leon Schiller, reżyser
Olga Siemaszkowa, art. plastyk
Stefania Skwarczyńska, prof. U. Ł.
Andrzej Stawar, literat
Seweryna Szmaglewska, literatka
Grzegorz Timofiejew, literat
Witold Ulanowski, art. plastyk
Henryk Ułaszyn, prof. U. Ł.
Adam Ważyk, literat
Jacek Woszczerowicz, art. dram.
Jerzy Wyszomirski, literat
Jerzy Zaruba, art. plastyk
Stefan Żółkiewski, literat

Zespół „Kuźnicy" wzywa wszystkich, którzy solidaryzują się z powyższym oświadczeniem, do nadsyłania swych nazwisk na adres redakcji.

warunki zastane i którzy potrafią je zmienić. Możnaby rzec również, że każdy człowiek tworzy swoją własną historię za pomocą wiedzy o sobie samym i o świecie, a także za pomocą swojej niewiedzy o sobie samym i o świecie: w świecie wewnętrznym, tak samo jak w świecie nas otaczającym, wolność, według słów Marksa, polega na poznaniu konieczności. Jeśli jestem dziś komunistą, to dlatego, iż dokonałem wyboru, że chcę nim być. Nie przeczę, że wybór ten może być dokonany zgodnie z wieloma determinantami obcymi świadomości: zgodnie z usposobieniem, przez upodobanie do ryzyka, przez potrzebę gwałtowności, dla zaspokojenia poczucia bezpieczeństwa, drogą naśladownictwa lub przez snobizm. Często wskutek nagłego, lecz zdrowego impulsu, prawdziwego i głębokiego poczucia klasowego; zaś najczęściej po ostatecznej, sprawiedliwej i codziennej ocenie tego, co się dzieje. Reasumując: jeśli wolę Lenina i Stalina od Kropotkina, Leona XIII, Trockiego, jeśli przyznaję rację raczej Politzerowi, de Prenantowi, Langevinowi, Wallonowi niż Leonowi Blumowi lub Leonowi Bloy'owi, jeśli szedłem raczej za Martym, Thorezem i Duclosem, niż za Paul Faurem i Marceau Pivert, to było to konsekwencją wyboru, który często sprawdzałem i który w sobie utwierdzałem.

Myślę, że dokonałem wyboru bez jakiejkolwiek chęci umartwiania się, przeciwko własnemu usposobieniu, wiedząc o tym, że partia komunistyczna wiele wymaga od swoich zwolenników—i że kapitalizm i faszyzm zażądają pewnego dnia od nas jeszcze więcej niż sama partia. Myślę nawet, że dokonałem wyboru przeciwko własnemu środowisku, o tyle, o ile byłem zmuszony poznać i zwalczyć w sobie błędy intelektualisty. Oczywiście, doskonale zdaję sobie sprawę z tych wszystkich determinant, które pozwoliły mi dokonać wyboru. Przeszłość partii i komuniści, których znałem również o nim zadecydowały.

Jeśli dokonałem wyboru częściowo przeciwko własnemu usposobieniu, to jest to wynikiem kształtowania się mojego życia umysłowego: Montaigne, Pascal i La Rochefaucauld, Stendhal, Martin du Gard i Malraux kazali mi przyglądać się życiu i myślom nie zgadzać się na nie, jeśli w nich nie ujrzę wyraźnie wszystkich kierunków mojego umysłu. Jeśli zwyciężyłem; wbrew sobie samemu wszystko z czego marksizm zawsze czynił zarzuty intelektualistom, to zawdzięczam to głębokiej moralności literatury francuskiej, która nauczyła mnie znać i chcieć zmienić człowieka. Jeśli dokonałem wyboru przeciwko pewnemu działaniu mojego środowiska, to zawdzięczam to temu wszystkiemu, co nauczyło mnie obserwować działanie środowisk na mnie. Dokonałem wyboru o tyle, o ile cywilizacja, której jestem dziedzicem, uczy być świadomym wszystkiego, co sprzyja mojemu postanowieniu lub je odpycha.

Lecz w istocie być może, że zagadnienie nie polega na tym, by wiedzieć dla czego zostało się komunistą. Usposobienie, środowisko, niewytłumaczone, irracjonalne impulsy częściej przeszkadzają niż pomagają w przystąpieniu do partii. Akcesy do partii zbudowane na tych wątpliwych wartościach są łatwo i szybko sprawdzalne. Awanturnik staje się „ultra - lewym", rozgoryczony staje się „ultra-lewym', gaduła staje się krzykaczem, czyli „ultra-lewym": jedni odchodzą odrazu, inni zmieniają się, lub zostają wypędzeni. Na nieszczęście dla nich, lecz z konieczności wobec zbiorowiska ludzkiego, partia nie jest instytutem reedukacji psychologicznej.

Jak się okazuje do partii można wstąpić z rozmaitych powodów. Lecz jeśli sądzi się o niej według tych, którzy od niej odeszli, to najbardziej instruktywnym byłoby prawdopodobnie wytłumaczenie tym wszystkim, których niepokoi dziś pokusa komunizmu, dlaczego pozostało się komunistą.

Mam trzydzieści pięć lat, od sześciu lat jestem komunistą. Wydaje mi się że mógłbym rozwiązać te wszystkie zagadnienia, jakie intelektualiści stawiają wobec partii. O ile oszczerstwa nigdy mnie nie obchodziły, to argumenty nigdy nie przestawały mnie zniewalać, bym się nad nimi zastanowił. Nie jestem funkcjonariuszem partyjnym, moje warunki materialne nie są nawet zależne od partii. Pozostałem komunistą, i to coraz gorliwszym komunistą, bez żadnych sprzeczności intelektualnych ani ograniczeń umysłowych.

Zawdzięczam to przedewszystkim temu, że nie wstąpiłem do partii w nastroju gwałtownej i sentymentalnej wylewności. Widzieć z daleka partię niby rodzaj kościoła lub też pozyskiwać z miejsca przyjaźń męską, to tylko liryczne złudzenie. Partia jest zwyczajnym, nieufnym domem, w stanie ciągłego oblężenia, i nie zawsze mamy czas na to, by być tymi ludźmi jutra, których wychowujemy. Braterstwo nie jest podarunkiem, który można znaleźć w drzwiach razem z biletem wizytowym, — jest zdobyczą wspólnej walki.

Pozostałem komunistą również dzięki temu, że jestem cierpliwy. Nie chodziło mi o jakąś podróż dla studiów. Nie zwiedza się partii jak egzotycznego kraju, skąd wyjeżdża się natychmiast po sprawdzeniu tego, co się przyjechało sprawdzić: uprzedzeń i obaw.

Pokładałem w partii wielkie zaufanie; kiedy odczuwałem wahania, nie ufałem przedewszystkiem samemu sobie: wybierając między moim niedoświadczeniem i doświadczeniem Stalina, lub Thoreza czy Cogniota, zawsze stawiałem przedewszystkim na doświadczenie, słuchałem doświadczenia. Zawsze wystrzegałem się tego, by nie zostać strategiem z Café du Commerce i Cafe de la Revolution — być jednym z tych, których nazywamy „trzeba tylko": trzeba tylko przejść do akcji, trzeba tylko zmobilizować masy, trzeba tylko wziąść władzę w swoje ręce. Przyjaciele z „Esprit", jeśli obawiacie się dziś, że Związek Radziecki, spragniony porządku i pokoju, hamuje rewolucję we Francji, mylicie się. Spróbujcie pozyskać, nie tylko mobilizację klasy średniej wogóle i chłopstwa wogóle, lecz sympatię kupców z waszej ulicy, zrozumienie ze strony otaczających was intelektualistów, zaufanie chłopów z waszej wsi do akcji Partii Komunistycznej, a zrozumiecie, dlaczego możliwa rewolucja się nie odbyła. Zrozumiecie znaczenie słów: zmobilizować masy wokół Partii Komunistycznej. Pomóżcie pozyskać zaufanie dziesięciu milionów mężczyzn i kobiet, a przekonacie się, że to nie konieczność zapewniania bezpieczeństwa Związkowi Radzieckiemu paraliżuje nacjonalizację.

Nigdy nie skonstatowałem istnienia czerwonego imperializmu: nawet dziś, w Trieście, w Salonikach, w Bukareszcie, w Belgradzie, w Kairze, wystarczy spojrzeć z punktu widzenia elementarnego marksizmu, by zobaczyć, że zamiast rosyjskiej ekspansji mamy tam do czynienia ze splotem interesów związanych z rynkami zbytu; interesów, nie mających na celu troski o pokój, którego potrzebą kieruje się w przeciwieństwie do nich i zupełnie wyraźnie cała polityka radziecka. Czy może ktoś wyjaśnić, dlaczego Związek Radziecki, zajęty swoim piętnastoletnim planem odbudowy, miałby narażać stan pokoju dyplomacją pobrzękiwania szabelką w czterech stronach Europy i Azji? Nigdy nie skonstatowałem również, by Partia Komunistyczna była agentem obcej polityki.

Ale w 1935 roku nie trzeba było być bardzo wtajemniczonym marksistą, aby przyznać, że Stalin chcąc solidnego uzbrojenia Francji, miał rację. W 1939 roku wystarczyło mieć zimną krew, by zrozumieć, że Chamberlain i Daladier zmusili poprostu Związek Radziecki do tego, by obszedł się bez nas, zapewniając, choćby prowizorycznie, bezpieczeństwo. Wystarczyło być wewnątrz partii, aby wiedzieć, że zarówno przed jak i po 24 sierpnia 1939 roku Hitler został wrogiem nr. 1 komunistów francuskich.

Nie zauważyłem u nas nigdy uwielbienia dla wodzów, systematycznie zorkiestrowanego, jak to zostało uświęcone w „zawodowej armii" przez de Gaulle'a lub Montgomery'ego. Widziałem raczej w partii stanowczość z jaką uderzano, nie zwracając uwagi na prestiż. Wyeliminowanie Doriota, z chwilą, gdy nazwano go „Grand Jacques", ulubieńca Paryżan, było operacją polityczną niemożliwą do przeprowadzenia gdzieindziej; gdzieindziej, Marquet'owie, Deat'owie, Chautemps'owie, Bonnet'owie, Faure'owie mieli zawsze rację, gdyż ich osoby były zawsze silniejsze niż sama partia. Żadna partia nie sprawdziła ostrzej od nas postępowania wszystkich odpowiedzialnych osób w ciągu sześciu lat, żadna nie napiętnowała tak mocno lekkich wahań: kierownik powinien przedewszystkim potrafić kierować samym sobą. Nigdzie, tylko w naszej partii pokazano, że niema wielkich panów w ruchu oporu i że przeszłość towarzysza stwarza mu mniej praw niż obowiązków; nigdzie nie jest się mniej „tabu" niż w Partii Komunistycznej. Nigdy również nie zauważyłem tej przewagi aparatu biurokratycznego i policyjnego, o którym tyle mówią trockiści i którą straszy się tych, co sami tego nie sprawdzili. Zdarzyło mi się wraz z mymi towarzyszami, że po ostatnich wyborach kantonalnych, straciliśmy z przed oczu mapę Francji i rozważaliśmy nasze lokalne rozwiązania drugorzędnych trudności. Udaliśmy się do federacji, odszukaliśmy Berlioza, przedłożyliśmy mu nasze sprzeciwy; nie potraktował nas ani jako oportunistów, ani jako elementy rozkładowe, ani nie groził nam wykluczeniem; dyskutowaliśmy dwie godziny — a kiedyśmy odchodzili, zdecydowani kroczyć po linii partyjnej, trudniejszej niż nasza, to dlatego, że byliśmy przekonani. Nigdy nie wymagano odemnie ślepego posłuszeństwa, ani w mojej komórce, ani w mojej sekcji, ani w federacji; wstydziłbym się o tym mówić, gdybym nie wiedział, że trzeba to wciąż powtarzać. Zawsze o wszystkim dyskutowaliśmy: im byliśmy młodsi w partii, tym bardziej w naszych początkowych reakcjach byliśmy niezgodni z postanowieniami. W jakie środki musieliby być wyposażeni nasi kierownicy, zgodnie z tym co myślą ci, którzy wierzą, że partia to koszary, gdzie rozbrzmiewa tylko, z piętra na piętro, okrzyk adiutantów? Nie rozporządzamy ani wiecznym potępieniem, ani wielkimi ekskomunikami, ani odmową udzielenia sakramentu. Uchwały partyjne są stosowane po przedyskutowaniu, zrozumieniu i przyswojeniu sobie całkowitym przez członków. Uchwała, którą zna się powierzchownie to martwa litera — trzeba przekonać. Gdyby ktoś obliczył czas poświęcony na przekonywanie w naszej partii, to zarzuciłby nam raczej upodobanie do zbyt długich dyskusji, do rosyjskich „rozgaworów".

Nie odczuwałem również nigdy w Partii Komunistycznej dogmatyzmu formujących się kościołów. Są towarzysze o gwałtownym usposobieniu, są kierownicy przeciążeni pracą, którzy nie potrafią znaleźć dość czasu na tłumaczenie, są towarzysze niewykształceni, którzy robią to, co mogą: lecz nieustanna akcja partii odrzuca niewykształconych, wprowadza innych i odkrywa bez przerwy najlepszych. Pod tymi słowami — kościół, ortodoksja, dogmatyzm — kryje się nieporozumienie, które nie odpowiada istocie rzeczy. Nie jesteśmy kościołem, lecz armią. Zgodnie z naszą siłą, dyskutuje się przed powzięciem uchwały, według naszego doświadczenia — po jej wykonaniu; lecz jest rzeczą oczywistą, że nie można każdego ranka zwoływać Kongresów. Jesteśmy swobodnie zorganizowanym związkiem ludzi, którzy chcą w sposób najbardziej konsekwentny używać narzędzi marksizmu, zgodnie z tą definicją w naszym laboratorium historycznym nie może znaleźć się miejsce dla nie-marksizmu. Jeśli poza nami będą dyskutowane tezy marksizmu, będziemy zawsze uważnie się przysłuchiwać; gdyby została wynaleziona inna broń historyczna, wypróbujemy ją w praktyce. W istocie od siedemdziesięciu pięciu lat pokazywano nam praktyczne rewizje marksizmu; gdzie one są dzisiaj? Gdzie jest Dühring, gdzie jest Bernstein i Kautsky? Gdzie jest Mach, Avenarius i empiriokrytycy? Gdzie są „poszukiwacze Boga", rówieśnicy młodości Bierdiajewa? Gdzie jest de Man i ci, którzy dopatrywali się w „nazi" pewnego socjalizmu? Wszystkie nasze niepowodzenia i wszystkie nasze błędy są źródłem naszych refleksji; tak samo i wszystkie nowe przyczynki: Planck, Heissenberg, Broglie. Ale nie przyszłoby mi nigdy na myśl zapytać, czy Kościół Katolicki przystanie na pogodzenie swojej teologii z moim ateizmem; ani też, gdy mi odmówi, narzekać na to, że jest dogmatyczny. Teologia katolicka jest hipotezą dotyczącą istoty człowieka i świata; marksizm jest inną hipotezą. Wydaje się nam rzeczą dowiedzioną, że pierwsza ma za sobą tysiąc lat niepowodzeń. Nasz dogmatyzm jest naszą wiernością wobec doświadczenia, nieskończenie bardziej sprawdzalnego ugruntowanego przez Marksa przed stu laty.

Georges Mounin

PAUL VERROY

tłum. Julia Hartwig

ODPOWIEDŹ NA ANKIETĘ

Oto powód rozpoczęcia w nas wielkiej walki, w której nie idzie o to, aby prowadzić abstrakcyjne rozważania, lecz aby związać się całkowicie z ludźmi. Trzeba odsłonić Boga z pod zewnętrznych świecideł grzechu; powinniśmy oddać się całkowicie temu oczyszczeniu. Nigdy walka ta nie była dla mnie tak ciężka, jak wobec komunizmu; nigdy radykalne rozwiązania, jakich wymagała moja wierność wobec rzeczywistości, nie były dla mnie bardziej bolesne. Ponieważ trzeba się tu narazić na całkowitą samotność. Trzeba zerwać szczerową wspólnotę katolików, i to wszystkich niemal. Na skutek wychowania, warunków społecznych kształtujących ich życie wewnętrzne, nie mogą katolicy zająć stanowiska w chwili decydującej, gdy ustalają się formy walki, gdy rozpoczyna się bolesna bezpośredniość zagadnienia.

...Tymczasem nasze apostolstwo polega na tym, by nie słabnąć, ani wobec tych, którzy są nam drodzy, lecz nie chcą spojrzeć śmiało na świat, ani wobec tych, ku którym idziemy, i którzy, świadkowie wysiłku podejmowanego dla nich, nie przestają nas jednak ranić podejrzeniami, pogardzać nami, skazywać nas niesprawiedliwie.

Najcięższym jest, powtarzam, poczucie, że jest się przeszkodą dla samego Boga. Sprzeciwiamy się wzniesieniu miasta boskiego, gdy sprzeciwiamy się temu, by wznieść naszymi rękami miasto dla ludzi.

...Królestwo Boże? Królestwo Boże jest przede wszystkim na ziemi, jest nim sprawiedliwość ludzka, dlatego każdy, kto pragnie rozszerzyć na ziemi sprawiedliwość i braterstwo między ludźmi, przyczynia się do powiększenia ciała Chrystusowego. Stworzyć Królestwo Boże, to znaczy zmniejszyć na ziemi cierpienie, czyn Chrystusowy spełnia się dając bratu szklankę wody. Nawet narażając się na ukrzyżowanie. Lecz jeżeli Chrystus umarł śmiercią ludzką, to dlatego, że żył życiem boskim. I jeśli umieramy za szklankę wody podaną braciom, to umieramy również za boskie życie w nas. Jeśli dziś człowiek Boży w warunkach społecznych, w jakich aktualnie żyje, świadczy przeciw miłosierdziu, i jeśli umiera, śmierć jego nie jest Odkupieniem, lecz odcierpieniem kary.

...Oczywiście, gdyby się trzymać teoretycznie absolutnego materializmu i spirytualizmu w większym lub mniejszym stopniu eterycznego, jak pragnie tego wielu pseudo neokatolików, porozumienie byłoby niemożliwe. Jedni wybraliby sprawy ciała, inni ducha, człowiek zniknąłby. Lecz konkretnie biorąc, sprawa nie wygląda w ten sposób: po głębszym rozpatrzeniu widać, że pierwotny wybór przekonań i życia według idei komunistycznej, lub katolickiej dokonał się ze względu na człowieka. Prawdziwe życie komunistyczne: nie przez swój aspekt wyłącznie organizacyjny; prawdziwe życie katolickie: nie przez mieszczański humanitaryzm katolicko - społeczny, ani tradycyjne uwielbienie, jakie wyraża bogacz dla Boga, usprawiedliwiającego pieniądz.

Ani jedni, ani drudzy nie ulegamy zachciankom; ale my, katolicy jesteśmy wykorzenieni. Socjalizmowi we wszystkich jego odcieniach można zarzucić nie to, że jest spirytualistyczny, lecz to, że nie jest materialistyczny. Oczywiście, skoro ukazujemy partii komunistycznej karykaturę rzeczywistości, pod pretekstem zachowania tego, co duchowe, można tylko roześmiać się nam w twarz z tej dyskursywnej działalności, z tego wzburzenia pośród obłoków.

Tu mieści się istotna nauka marksizmu, nauka przekazana przez życie Lenina. Czy jest ona niepełna? Być może, lecz poza nią nie można niczego dokonać. Oczywiście można wątpić, czy marksizm jest ostatecznym wyjaśnieniem rzeczywistości, tu, gdzie ma on pretensje do ostatecznego wyjaśnienia: lecz jest on środkiem koniecznego działania, sposobem postępowania na świecie w czasie naszych dni. Można wątpić, czy proponowana przezeń teoretyczna konstrukcja rozwoju świata jest uwarunkowana przez samą rzeczywistość; lecz jego wizja rzeczywistości jest jedynie skuteczna. Można trzymać się w niej mniej absolutnej koncepcji historycznej, można wątpić, czy świat przejdzie nagle w ostateczny raj, a dni przyszłe będą już tylko śpiewać, zaś według doświadczenia katolickiego, możemy zachować relatywizm radości, zarówno jak grzechu. Ale to nie jest sprawą zasadniczą, czy kto wierzy w możliwość doskonałości ziemskiej czy nie. Jest sprawą zasadniczą, by zrealizować lepszy świat; dlatego bezczynność jest zarówno antykatolicka jak antykomunistyczna; zarówno katolik jak i komunista pragną bezpośredniej sprawiedliwości. Aby zaś działać bezpośrednio, trzeba żyć ciałem ziemskim, zdawać sobie sprawę z materii świata. Jeśli katolik chce żyć życiem bożym, to pierwszym jego zadaniem dziś jest zdać sobie sprawę z konkretnych warunków sprawiedliwości i działania. Marksizm przekazuje nam aktywną prawdę naszych czasów i pozwala wpływać na nią. Niechże katolik postara się zetknąć z rzeczywistością z ciała i krwi, którą odsłania mu marksizm, i z wymaganiami jakie stawia czyn zorganizowany. Bez tego będzie tylko strzelał w gwiazdy.

...Co więcej, właśnie ci, którzy zapominając o ciele, twierdzą, że walczą o ducha, przyczyniają się do jego rozkładu. Jeśli komunizm sprzeciwia się wszelkiemu idealizmowi, to dlatego, że idealizm zapomina o ciele. Materializm staje się bezwzględny w defensywie; może on istnieć tylko wbrew bezwzględnemu idealizmowi, to znaczy wbrew każdemu nieracjonalnemu stanowisku, jakie zajmuje się wobec życia. Idealizm uchyla się od jakiegokolwiek gwałtu, od niezbędnego pragmatyzmu; on właśnie jest przyczyną nieludzkości, jaka może się pojawić w akcji komunistycznej. Dlatego konkretnie, jeśli komunizm chce utrzymać z ducha rewolucyjnego tylko zasadę działania bezpośredniego

jeśli sprzeciwia się szlachetności samej w sobie, to dzieje się tak dlatego, że uważa szlachetność proponowaną „światu z obłoków" przez socjalizm, — za zgubną dla działania. Można oczywiście odpowiedzieć, że miłość do ludzi nie przeszkadza trzymać nóg na ziemi, zresztą to właśnie prawdziwa miłość sprawiedliwości jest podstawą akcji komunistycznej, nawet jeśli potem odrzuca ona Miłosierdzie. To późniejsze wyparcie się szlachetności jest tylko odrzuceniem jej socjalistycznej lub humanitarnej karykatury. Marksizm dążył do uwolnienia się całkowicie od miłosierdzia, ponieważ musiał się bronić przed fałszywym Miłosierdziem, które było sublimacją intelektualistów. Wiem, że zło może być głębokie i może odpowiadać temu, co jest najbardziej antymarksistowskie, np. egoistyczna skłonność do powszechnej równości; wiem, że jest wielu młodych ludzi skłonnych do rewolucji po mieszczańsku tylko w swoich pragnieniach, którzy stłumili w sobie najistotniejsze siły uczycia na korzyść pełnego użycia.

Tylko w partji komunistycznej wydaje mi się możliwa jakakolwiek działalność polityczna. Działalność ta nie będzie szła w kierunku przekształcenia partii, sączenia w nią politycznych soków; z jednej strony byłoby to nielojalne; z drugiej, gdyby sprawa tak się przedstawiała, konkretne warunki komunizmu byłyby zupełnie inne, niż oznaczone przez nas. Nie idzie o to, by wsączyć do komunizmu spirytualizm; spirytualizm ten ma w nim najbardziej autentyczne źródło; przeciwnie, idzie o to, by wykluczyć z niego fałszywe spirytualizmy odcieleśnienia i błagierstwa, aby serce mogło znów bić normalnie w ludziach świadomych swego ciała. Oto dlaczego brak solidarności z marksizmem komunistycznym wyrażającym się dziś poprzez partię pod tym pozorem, że brak mu już prawdziwego ducha rewolucyjnego, oznacza sprzeciwianie się jego istnieniu wogóle, gdyż poza partią komunistyczną niema realizującego się marksizmu, a wzbraniać się przed realizowaniem go z jej pomocą, to tyle, co pozbawiać go najistotniejszych soków, przyczyniać się do jego kostnienia. Trzeba przyjąć wszelką formę organizacyjną marksizmu, jeśli nie chce się jeszcze bardziej zniszczyć ducha rewolucyjnego. Duch Rewolucji może żyć tylko w żywym, materialnym i konkretnym ciele partii komunistycznej. Aby zniszczyć etykę abstrakcyjną, przyczynę bezradności, trzeba przystać na wcielenie wszystkich zasad prawdziwej etyki, z zachowaniem istotnego bogactwa konkretu i realizującego się działania. Całkowita lojalność wobec tego wcielenia polityki: oto warunek istnienia etyki ludzkiej.

Etyka z Bogiem czy bez Boga? To nie ma sensu z punktu widzenia katolickiego. Jeśli nawet imię Boga nie zostało wymienione, nie ma to jeszcze znaczenia. Dla ludzi żyjących Bóg dziś — to sprawiedliwość: my katolicy musimy zrealizować Sprawiedliwość, aby wskazać światu, że imię jej jest Bóg. I jeśli mówi się nam, że wyższe dążenia objawiające się w dzisiejszym komuniźmie są stanowczo ateistyczne, jakże nie odpowiedzieć: czyja wina? A przede wszystkim jaką więc drogę do Boga proponujecie? Wiemy, co to znaczy użyć imienia Boga dla uświęcenia zamiarów ludzkich. Jeszcze raz ludzie ukrywają swój egoizm pod osłoną oblicza boskiego, a w istocie to tylko ten, kto nie jest egoistą, jest boski. Boże jest to, co pochodzi od Boga. Jedynie życie boże pozwala człowiekowi dzisiejszemu, pośród grzechu, na szlachetność niezbędną dla tego, kto poszukuje sprawiedliwości, i na śmierć dla przeczuwanego Odkupienia. Jeśli sprzeciwiamy się im, Bóg je i tak już uświęcił, ponieważ ta szlachetność i śmierć, to właśnie ludzkie życie Chrystusa.

Materializm w pojmowaninu abstrakcyjnym jest dla katolików nie do przyjęcia. Lecz nie można sądzić komunizmu w abstrakcji. Rodzi on się jako reakcja człowieka w danym środowisku, jest przede wszystkim konsekwencją i możliwością. Powinniśmy zbadać warunki, które wywołały jego błędy, jeśli chcemy sądzić o jego zaletach.

Komunizm jako doktryna abstrakcyjna nie jest tak elastyczny, jak konkretna całość tego ruchu. Komunizm jest u swych podstaw reakcją głęboko ludzką, jest umiłowaniem prawdziwej sprawiedliwości. W abstrakcji staje się nieludzki; literatura jego wyraża pogardę dla wartości, które wydały go na świat. Lecz nie tu jeszcze tkwi istotny konflikt; jeśli komunizm odrzucił tyle wartości ludzkich: wartości etyczne, estetyczne, rodzinne, religijne, to dlatego, że wartości te były w życiu związane nierozdzielnie z ich wypaczeniami. Zgodzić się na etykę, znaczyło związać się z warunkami społecznymi, które wprowadził świat kapitalistyczny pod pozorem etyki; zgodzić się na rodzinę, znaczyło wziąć na siebie ciężar monadycznej i antyspołecznej koncepcji rodzinnej, zgodzić się na Kościół, znaczyło oddać cześć karykaturze Boga. Aby utrzymać się przy konkretności, aby zachować skuteczność działania na terenie ekonomicznym, doktryna marksistowska oraz ta część jej metody, która wywodzi się z systemu, zmuszone były bronić się przed obcymi wtrętami, jakieby one nie były, a to po to, aby uniknąć wpływu ich fałszywych konsekwencji. Ten, kto zechce wejrzeć głębiej, do źródeł marksizmu, przekona się jak bardzo jest on ludzki, ile ma w sobie wolnej woli, i jak rozwija sprawiedliwość. Dlatego my, katolicy, mamy obowiązek pomóc w rozwoju tej sprawiedliwości. Uważamy, że pomoc ta jest możliwa, jeśli bowiem negatywna część poglądów marksistowskich, dotycząca związków nadzmysłowych, była nie do uniknięcia z historycznego punktu widzenia, o tyle wewnątrz samego marksizmu, w jego życiowym działaniu nie będzie można stłumić istniejących w nim więzi między sprawiedliwością a transcendencją. Jeśli jesteśmy krańcowymi marksistami i komunistami, to dlatego, że konkretna skuteczna akcja możliwa jest jedynie w marksizmie komunistycznym; jest ona zasadniczym warunkiem narodzenia się rzeczywistych transcendencji na ruinach starych struktur i transcendencji zgniłych.

Nie wierzymy w dawną rodzinę: wierzymy w nowe oblicze rodziny współczesnej, uwolnionej od egoizmu krwi i od warunków strukturalnych, wstecznych z punktu widzenia socjologicznego. Nie wierzymy w naród lecz w kraj, który postępuje za swymi własnymi cnotami, i unika międzynarodowej rywalizacji. Nie wierzymy w kulturę, lecz w oczyszczoną świadomość ludzką, rodzącą się w trudzie rąk, w działalności umysłu. Nie wierzymy w miłość do Boga, lecz w miłość do Boga, kóra staje się czynem ludzkim. „...Dni jutrzejsze, które śpiewają?" Nie: Wieczność, która śpiewa. Katolik wierzy w Odkupienie na Ziemi. A Odkupienie jest to przede wszystkim Chleb i Wino, zdobyte w miłości dla ludzi. Czy trzeba dodawać, do jakiego stopnia bezpośredniość ta wiąże się z eschatologją chrześcijańską? Jesteśmy ludzie nowi, przeniknięci mocą Zmartwychwstania.

Paul Verroy

JAN KOTT

SZKOŁA HISTORII*)

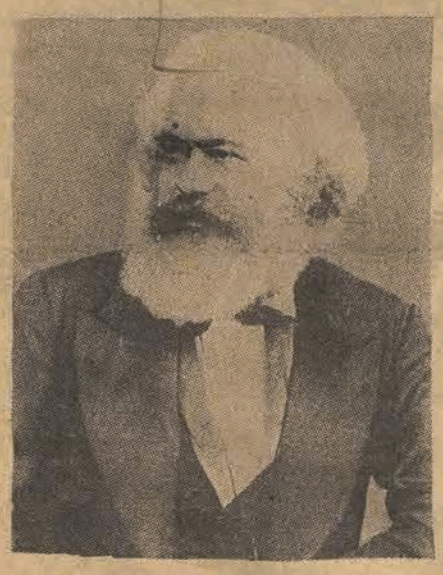

Karol Marks (1818–1883)

„Nie wystarcza powiedzieć, jak to czynią Francuzi, że naród ich został zaskoczony. Narodowi i kobiecie nie wybacza się owej chwili nieopatrzności, kiedy lada awanturnik może na nich dopuścić się gwałtu. Takie tłumaczenie nie rozwiązuje zagadki, tylko inaczej ją formułuje. Wypadłoby jeszcze wyjaśnić, w jaki sposób mogło trzech szalbierzy zaskoczyć 36-milionowy naród i bez oporu wziąć go do niewoli".

(Karol Marks: „18 Brumaire'a Ludwika Napoleona").

I DWA SĄDY.

Nie ma chyba w literaturze światowej równie tragicznego i wstrząsającego sądu o powszechnym zawiedzeniu nadziei przez rewolucję 48 roku, a świadomości zmarnowanego życia pokolenia, które wzięło w niej udział, jak „Szkoła serca" Flauberta. Oto w zakończeniu powieści spotykają się po latach dwaj bohaterowie książki: Fryderyk Moreau, który całe życie marzył o miłości, podróżował i żył z renty, i Karol Deslauriers, adwokat i polityk, który pragnął władzy. Dwaj przyjaciele dokonywuja wspólnie rachunku swego życia i odnajdują w nim tylko jedną chwilę szczęścia, jedno cenne wspomnienie — wspólne odwiedziny w latach młodości domu publicznego na wsi, odwiedziny zresztą tak samo nieudane jak wszystko, co dokonali w życiu:

„Fryderyk — czytamy na ostatniej stronie „Szkoły serca" — ofiarował swój bukiet, niby narzeczony oblubienicy. Lecz wskutek gorąca, obawy i jak gdyby wyrzutów sumienia, a zapewne też i widoku tych kobiet, będących do jego dyspozycji, pobladł niezmiernie i nie mógł zrobić ani kroku. Dziewczęta się śmiały, rozbawione jego zakłopotaniem, on zaś, myśląc, że drwią z niego, uciekł. Deslauriers zmuszony był pójść w jego ślady, gdyż tylko Fryderyk miał pieniądze. Widziano ich, jak wychodzili. O historii tej mówiono jeszcze w Nogent po trzech latach. Odświeżyli ją sobie obecnie, dopełniając nawzajem wspomnieniami. A gdy skończyli, Fryderyk odezwał się:

— To było ze wszystkiego najlepsze!

— Tak, możliwe. To było ze wszystkiego najlepsze — powtórzył Deslauriers".

Ten brutalny, drastyczny i gorzki sąd największego pisarza pokolenia o własnej generacji, sąd wielkiego pisarza mieszczańskiego o ohydzie mieszczańskiego bytu, domaga się wyjaśnień. I próżno szukać tych wyjaśnień w w przemianach wrażliwości, w tajemnicach życia wewnętrznego, w przeżyciach jednostek. To nie jest zagadnienie, które rozwiązać potrafi psycholog. Świadomość zmarnowanego życia u mieszczańskich bohaterów mieszczańskiej rewolucji i zaciekłą nienawiść Flauberta do typu kultury, jaką reprezentowało współczesne mu społeczeństwo, wyjaśnić mogą jedynie dzieje społeczne klasy, do której należeli i on i jego bohaterowie, dzieje rewolucji, która wydawała się początkiem epoki wolności i władztwa ludu, a zakończyła się obnażonym ze wszystkich pozorów despotyzmem, wyzyskiem i przemocą. Diagnozę pisarza wyjaśnia może jedynie sąd socjologa i historyka, który w dramacie jednostek odczytuje dramat historyczny klas społecznych. Oto w zakończeniu „18 Brumaire'a Ludwika Napoleona" czytamy:

„Burżuazja francuska oparła się panowaniu pracującego proletariatu — doprowadziła do władzy lumpenproletariat. Burżuazja utrzymywała Francję w nieustannym lęku przed czekającymi ją okropnościami czerwonej anarchii, Bonaparte zdyskontował jej tę przyszłość, gdy kazał podochoconej wódką armii strzelać do stojących w oknach czcigodnych obywateli z bulwarów Montmartre i des Italiens. Apoteozowała szablę, szabla panuje nad nią. Zniszczyła prasę rewolucyjną, jej własna prasa jest zniszczona. Roztoczyła nadzór policyjny nad zgromadzeniami ludowymi; salony jej są pod nadzorem policji. Rozwiązała demokratyczną Gwardię Narodową, jej własna gwardia jest rozwiązana. Wprowadziła stan oblężenia, stan oblężenia został wprowadzony przeciw niej. Zastępowała sądy przysięgłych komisjami wojskowymi, jej sądy przysięgłych wyparte zostały przez komisje wojskowe. Podporządkowała stronnictwo ludowe klechom, kler podporządkowuje sobie szkolnictwo burżuazji. Zsyłała bez sądu; bez sądu sama jest zsyłana. Z miłości do swej kiesy buntowała się przeciw swym własnym politykom i pisarzom; jej polityków i pisarzy usunięto, ale jej kiesę grabią, po zakneblowaniu jej ust i złamaniu jej pióra".

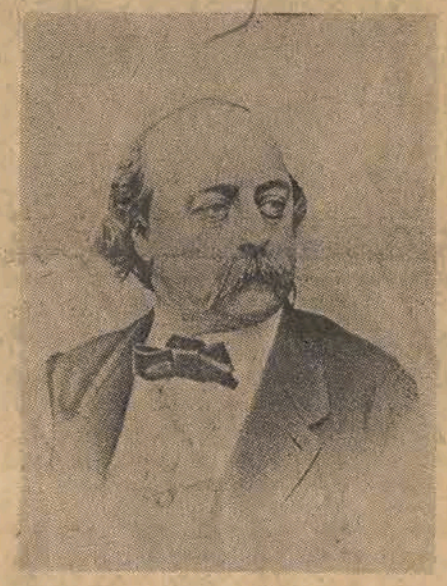

Gustaw Flaubert (1821–80)

Kiedy porównujemy te dwa sądy: Flauberta i Marksa, kiedy porównujemy te dwie książki o roku 48: „Szkołę serca" i „18 Brumaire'a", z których każda jest arcydziełem swego gatunku, uderza nas **naiwność** popularnego przeświadczenia, utrzymującego, że powieściopisarz opowiada o faktach zmyślonych i bohaterach fikcyjnych, kiedy tymczasem historyk opisuje fakty prawdziwe i rzeczywiste postacie. W istocie sprawa przedstawia się niemal odwrotnie. To powieściopisarz ukazuje nam rzeczywistość społeczna poprzez czyny i przeżycia jednostek prawdziwych, konkretnych, rzeczywistych. Historyk przechodzi od faktów jednostkowych do stwierdzania stałych związków i prawidłowości, od jednostek — do grup społecznych, do instytucji życia zbiorowego, do typowych struktur gospodarczych, kulturalnych i politycznych. Powieściopisarz w osobowości jednostki, w przeżyciach bohaterów pragnie znaleźć ostateczne wyjaśnienie przemian historycznych. Historyk postępuje odwrotnie — w procesie społecznym szuka wytłumaczenia działalności jednostek, w prawach życia zbiorowego — wzoru i normy. „Ludzie — powtórzę za prof. Suchodolskim klasyczną już definicję Czarnowskiego — będą dla niego przede wszystkim jednostkowymi przedstawicielami typu ogólno - ludzkiego, który może nie być urzeczywistnionym nigdy w pełni, który jednakże istnieje w danej epoce i w danym społeczeństwie, jako norma, wkoło której grupują się indywidua".

I oto w „18 Brumaire'a" uderza przede wszystkim dzisiejszego czytelnika nowoczesność metodologicznej myśli Marksa, jasność i pełna świadomość z jaką na początku książki podejmuje węzłowe zagadnienie współczesnej humanistyki — zagadnienie człowieka, tworzącego dzieje, tworzącego kulturę:

„Ludzie sami tworzą swoją historię, ale nie tworzą jej dowolnie, nie w wybranych przez siebie okolicznościach, lecz w takich, w jakich się bezpośrednio znaleźli, jakie zostały im dane i przekazane.. Na różnych formach własności, na społecznych warunkach bytu wznosi się cała nadbudowa różnych i swoistych uczuć, złudzeń, sposobów myślenia i poglądów życiowych. Tworzy je i kształtuje cała klasa na gruncie swych materialnych podstaw istnienia i odpowiednich stosunków społecznych. Poszczególna jednostka, która wchłania je drogą tradycji i wychowania, może sobie urojć, że to one stanowią właściwe pobudki i punkt wyjścia ich działalności... Podobnie jak i w życiu prywatnym odróżnia się to, co jakiś człowiek mniema i mówi o sobie, od tego czym jest i co

*) Karol Marks — „18 Brumaire'a Ludwika Napoleona" (Sp. Wyd. „Książka" 1946).

MIECZYSŁAW JASTRUN

PAMIĘCI JÓZEFA OPPENHEIMA

O tych, którym niebo znad czoła, ziemię spod nóg usunięto,
Których kości zmiażdżonych aniołom ni ludziom nie złączyć,
O pogorzelcach ciał własnych, które na dymach rozpięto,
O zaraźliwie milczących.

O tych, co przetrwali obozy i uszli niemieckiej kaźni,
A dziś ich w ojczyźnie morduje zbrojnego najmity ręka,
Niech opowiada potomnym, bez fałszu, od ognia jaśniej,
Wiersz, co przed nożem nie klęka.

Nie dotkną tej struny przeklętej ci, którzy w ludzkość nie wierzą,
To dla nich kamień obrazy, to dźwięk dla warg ich za twardy —
Lecz bije mocniej niż słowa, które pogardą uderzą,
Serce, co nie zna pogardy.

Gorzka i niepozorna prawdo ukryta w mej mowie
Jak w dłoniach twarz nieznajoma — gdy zmilkne w zdania połowie,
Ty po wyrżniętych narodach osamotniona w żałobie,
Wspomóż mnie.

robi w rzeczywistości, tak samo w walkach historycznych odróżnić należy frazesy i urojenia partii od ich rzeczywistych interesów, wyobrażenia jakie mają o sobie, od ich realnej treści".

Wulgaryzatorzy i przeciwnicy całą teorię historii Marksa sprowadzają do formuły: „byt społeczny określa świadomość", pod słowem byt społeczny pojmując materialne interesy poszczególnej jednostki, a pod słowem „świadomość" jej życie wewnętrzne. W ten sposób historyczna teoria kultury Marksa, dla którego cała natura ludzka jest wytworem życia społecznego sprowadzona zostaje do mechanistycznej redukcji „przeżyć", do „interesów" praw natury i psychologii, do praw, rządzących życiem społecznym i światem przyrody. Tymczasem istotą nowatorskiej myśli Marksa jest nietylko odkrycie podstawowej struktury życia społecznego, którą jest podział klasowy, ale również sformułowanie po raz pierwszy antynaturalistycznej, socjologicznej teorii osobowości. W prawach życia społecznego, w całości wzajemnych stosunków, łączących podstawowe grupy społeczne, w przejmowaniu dziedzictwa kulturalnego przeszłości ukazuje Marks jedyną możliwość naukowego i pełnego rozumienia czynów i złudzeń, uczuć, dążeń i poglądów ludzkich.

2. KOSTIUM HISTORYCZNY

Dla współczesnego historyka niemniej podstawowym zagadnieniem jak pojęcie człowieka — twórcy kultury, jest prawidłowa konstrukcja pojęcia epoki i stylu. Konstrukcja, która by obejmowała nie tylko poszczególne zjawiska kulturalne jak literatura czy malarstwo, ale związałaby w jedną całość ogół procesów i wytworów życia społecznego, i pozwalała odnaleźć podobieństwo struktury pomiędzy gotyckim kościołem a ustrojem cechów, pomiędzy malarstwem Dawida a obaleniem feudalnej zależności chłopów; pomiędzy wyodrębnianiem się inteligencji w osobną warstwę a niedorozwojem kapitalizmu.

Płodna poznawczo konstrukcja pojęć epoki i stylu oprzeć się musi na rozwiązaniu problemu węższego, ale nie mniej doniosłego, który bym nazwał chętnie zagadnieniem **kostiumu historycznego**. Każda epoka przejmuje dziedzictwo kulturalne przeszłości, ale przejmując, dokonywuje wyboru; wybierając, przekształca; i oto jesteśmy świadkami, jak dawne elementy stylu, obyczaju, ideologii stają się pseudonimem nowych treści społecznych i kulturalnych. Dla historyka kultury jest to problem kapitalny, bez jego rozwiązania nie potrafi bowiem trafnie interpretować podstawowego zjawiska mimikry historycznej, odróżniać treść od pozorów, kostium historyczny od złych modeli. Przebieranie się w kontusz inteligencji polskiej jest przecież zupełnie różnym zjawiskiem od świadomości wyższości szlacheckiej pana Paska, upodobanie w sielance dam rokokowych XVIII wieku jest odmiennym zjawiskiem historycznym od sielanki Teokryta.

I oto w „18 Brumaire'a" Marks z całą jasnością i ostrością stawia zagadnienie kostiumu historycznego:

„Tradycja wszystkich zmarłych pokoleń ciąży jak zmora na umysłach żyjących. I właśnie wówczas, gdy wydają się zajęci tym, by dokonać przewrotu w sobie samych i w tym, co ich otacza, by stworzyć coś, czego nigdy jeszcze nie było, w takich właśnie epokach, kryzysu rewolucyjnego przywołują oni trwożliwie na pomoc duchy przeszłości, zapożyczają od nich imiona, hasła bojowe i szaty, ażeby w tym uświęconym przez wieki przebraniu i w tym zapożyczonym języku odegrać nowy akt historii świata. Tak Luter przyodziewał maskę apostoła Pawła, rewolucja lat 1789—1814 drapowała się kolejno w togę republiki rzymskiej i cesarstwa rzymskiego... Ale jakkolwiek niebohaterskie jest społeczeństwo burżuazyjne, potrzeba przecież było bohaterstwa, poświęceń, terroru, wojny domowej i bitew narodów, aby wydać je na świat. I gladiatorzy jego znajdowali w klasycznie surowych tradycjach republiki rzymskiej ideały i formy artystyczne, znajdowali iluzje, jakich im trzeba było, by ukryć przed sobą burżuazyjnie ograniczoną treść swych walk i utrzymać swe namiętności na poziomie wielkiej tragedii historycznej. Tak na innym szczeblu rozwoju, o stulecie wcześniej, Cromwell i lud angielski zapożyczyli ze Starego Testamentu język, namiętności i iluzje dla swojej burżuazyjnej rewolucji. Kiedy prawdziwy cel został osiągnięty, kiedy społeczeństwo angielskie przeobrażone zostało na modłę burżuazyjną, Locke wyparł Habakuka".

Pamiętam owo uczucie radosnego olśnienia, jakiego doznałem, odnajdując na starych akcjach jakiegoś francuskiego towarzystwa dla eksploatacji węgla, te same motywy roślinne, tych samych faunów i nimfy, ten sam romantyczny pejzaż zameczków i kościołów, co na winietach, zdobiących pierwsze wydanie „Chimer" Nerwala. Podobnego uczucia olśnienia, jakie daje rozumienie ścisłych związków, łączących w danej epoce poszczególne strefy kultury, doznaję zawsze przy czytaniu historycznych książek Marksa. I sądzę, że największą zdobyczą marksistowskiej teorii kultury jest umiejętność trafnego przekładu języka namiętności i iluzji, języka malarstwa, literatury i filozofii na język walk społecznych, na język, w którym opisujemy strukturę nowoczesnego społeczeństwa, na język, mówiąc krótko, socjologów.

Znowu porównać chcę dwie cytaty, ze „Szkoły serca" i z „18 Brumeire'a". Oto jeden z bohaterów Flauberta tak opisuje popularne ryciny, przedstawiające Ludwika XVIII z rodziną:

„Zaczął mówić o głośnej litografii, przedstawiającej całą rodzinę królewską, oddaną budującym zajęciom. Ludwik Filip trzymał kodeks, królowa modlitewnik, księżniczki haftowały, książę Nemours przypasywał szablę, pan de Joinville pokazywał młodszym braciom mapę. W głębi było widać szerokie łoże. Ta rycina zatytułowana „Dobra Rodzina" sprawiła rozkosz mieszczuchom i oburzyła republikan..."

A teraz konstrukcja historyczna, która wyjaśnia portrety Dantona w todze rzymskiej i obraz szerokiego łoża, zachwalającego szczęśliwe rządy Orleanów:

„Skoro tylko nowa formacja uskztałtowała się — pisze Marks — znikły przedpotopowe kolosy, a wraz z nimi wywołana z grobu starożytność rzymska — owi Brutusi, Grakchowie, Publikole, trybuni, senatorzy i sam Cezar. Społeczeństwo burżuazyjne w swej nagiej rzeczywistości stworzyło sobie właściwych wyrazicieli i rzeczników w postaci Say'ów, Cousinów, Royer — Collardów, Benjamin-Constantów i Guizotów, jego prawdziwi dowódcy zasiadali przy kantorku w biurze a jego głową polityczna była nalana sadłem głowa Ludwika XVIII. Całkowicie pochłonięte wytwarzaniem bogactw i pokojową walką konkurencyjną nie pamiętało już ono, że widma czasów rzymskich czuwały nad jego kołyską..."

Tak wygląda prawo działania kostiumu historycznego.

3. DROBNOMIESZCZANIE ALBO O OBRONIE WIECZNYCH PRAW CZŁOWIEKA

„Po rewolucji lipcowej — pisze Marks — liberalny bankier Laffite, odprowadzając z tryumfem swego kompana księcia Orleańskiego do Ratusza, wyrzekł następujące słowa: **odtąd będą panowali bankierzy.** Laffitte zdradził tajemnicę rewolucji..."

Oto przykład intelektualnego stylu prozy, która z równą swobodą posługuje się anegdotą i dowcipem, satyrą, ironią i szyderstwem, jak nieubłaganie logicznym wywodem tez, materiałami statystycznymi, bilansami banków i towarzystw akcyjnych. Nie są to tylko zewnętrzne cechy prozy, dowcip i anegdota nie są nigdy dla Marksa celem same dla siebie, ale podobnie jak u Diderota i Woltera stają się metodą konstruowania przejrzystego obrazu rzeczywistości, wybierania faktów i rysów typowych, demaskowania pozorów i obnażania treści przemian obyczajowych i politycznych. dla twórców powiastki filozoficznej XVIII wieku rozkładający się ustrój feudalny i początki kapitalizmu przedstawiały obraz tak przejrzysty i jasny, iż można go było zamknąć w formuły o niemal matematycznej precyzji. Z podobną jasnością ukazuje Marks dzieje gospodarcze i polityczne Francji i XIX wieku.

„Za Burbonów rządziła wielka własność ziemska ze swymi klechami i lokajami, za Orleanów — wielka finansjera, wielki przemysł, wielki handel... Dostojnicy armii, uniwersytetu, kościoła, palestry, akademii i prasy stali bądź po jednej, bądź po drugiej stronie. W republice burżuazyjnej, która nie nosiła imienia ani Burbonów, ani Orleanów, jeno imię **kapitał**, znaleźli oni formę państwową, przy której mogli pouczać wspólnie..."

Tak w ogromnym skrócie wygląda podstawowa konstrukcja historyczna dziejów Francji. Ale obok tej rzeczywistej historii panujących klas społecznych, istnieje jeszcze druga historia — złudzeń i nadziei, pozorów i kłamstw, obumarłych formuł, które są już tylko rekwizytem historycznym, przedwczesnych idei, które dopiero przyszłość zrealizuje. W dniach rewolucji lutowej na wszystkich murach Paryża czerniły się ogromne wyrazy historyczne: **„Republique Francaise! Liberte, Egalite, Fraternité".** Rewolucja 48 roku stroiła się w wielkie hasła Wielkiej Rewolucji, parodiowała rok 1789, ogłaszała władztwo ludu, solidarność wszystkich klas społecznych. Chyba nie ma bardziej dramatycznych stron u Marksa jak obraz drobnomieszczaństwa, którego interesy materialne i położenie społeczne zmuszały do upierania się przy pozorach władzy, do odgrywania roli „pierwszej naiwnej" w wielkiej komedii republiki, do przebierania się w stare kostiumy z garderoby historii.

W imię obrony „własności, religii, rodziny i porządku" drobnomieszczanie zgnietli w czerwcu 1848 r. powstanie robotników paryskich. „Nikt za dni czerwcowych nie walczył fanatyczniej o ocalenie własności i przywrócenie kredytu, niż paryscy drobnomieszczanie — właściciele kawiarń i restauracji, szynkarze i drobni kupcy, kramarze i rzemieślnicy. Sklepik zerwał się i poszedł przeciw barykadom, aby przywrócić ruch, który z ulicy prowadził do sklepiku. Ale za barykadami stali klienci i dłużnicy, a przed nimi wierzyciele sklepiku. I gdy barykady zostały zburzone, a robotnicy pobici, i gdy sklepikarze upojeni zwycięstwem, pomknęli z powrotem do swych sklepów, znaleźli drzwi zabarykadowane przez zbawiciela własności, urzędowego agenta kredytu, który im przedstawił groźne żądanie: Płacić za weksel! Płacić za komorne! Płacić za towary!.. Zginął sklepik, zginął sklepikarz..."

Tak wyglądało istotne położenie drobnomieszczaństwa, kiedy ich reprezentanci parlamentarni, „zacni" republikanie „zajęci byli obroną wiecznych praw człowieka, tak jak mniejwięcej robiła to od półtora wieku każda tak zwana partia ludowa". Marks dodaje: „Demokrata dlatego właśnie, że reprezentuje drobnomieszczaństwo, a więc klasę przejściową, w której stępiają się wzajemnie interesy dwóch klas, wyobraża sobie, że wogóle stoi ponad przeciwieństwami klasowymi. Demokraci uznają, że przeciw nim stoi klasa uprzywilejowana, oni jednak wraz z całym pozostałym narodem stanowią lud. To co oni reprezentują, to prawo ludu, to co ich interesuje stanowi interesy ludu. Wystarczy wszak, aby dali sygnał, a lud ze wszystkimi swymi niewyczerpanymi zasobami uderzy na ciemiężców. Jeżeli zaś w praktyce okaże się, że ich interesy nie wzbudzają zainteresowania, siła zaś ich jest bezsilnością, wówczas winę ponoszą albo złośliwi sofiści, którzy rozbijają stanowiący całość lud na różne wrogie obozy, albo armia była nazbyt zezwierzęcona i zbyt zaślepiona, ażeby w czystych celach demokracji rozpoznać swe własne dobro... Demokraci wierzą w siłę trąb, od których dźwięków padły mury jerychońskie. To też usiłują powtórzyć ten cud, ilekroć stoją przed bastionami despotyzmu".

Na zakończenie tej wzorowej komedii złudzeń, naiwności i pozorów, które w okresie każdego przełomu odgrywają przywódcy klas pośrednich, pada uwaga socjologa:

„Nie należy sobie wyobrażać, że demokratyczni reprezentanci — to wszystko sklepikarze, lub ich wielbiciele. Przez swe wykształcenie i sytuację osobistą mogą być od nich tak dalecy, jak niebo od ziemi. Przedstawicielami drobnomieszczaństwa stają się oni wskutek tego, że myśl ich nie wybiega poza granice, których drobnomieszczanin nie przekracza w życiu, że dochodzą przeto teoretycznie do tych samych zadań i rozwiązań, do których drobnomieszczanina doprowadzają w praktyce jego interesy materialne i jego położenie społeczne. Taki jest wogóle stosunek pomiędzy politycznymi i literackimi reprezentantami klasy, a reprezentowaną przez nich klasą".

4. BURŻUAZJA ALBO OCALENIE PORZĄDKU

„Kiedy purytanie — czytamy w „18 Brumaire'a" — na soborze w Konstancji żalili się na występne życie papieży i bjadali, że konieczna jest reforma obyczajów, kardynał Pierre d'Ailly zagrzmiał im w odpowiedzi: tylko diabeł we własnej osobie może uratować jeszcze kościół katolicki, a wy żądacie aniołów". Tym diabłem, do którego zwróciła się burżuazja francuska o ocalenie spokoju i porządku, był Bonaparte.

Wielka Rewolucja zakończyła heroiczny okres mieszczaństwa. Ale walka o nieskrępowany rozwój sił twórczych, o zachowanie wolnej konkurencji, o eksploatację rozparcelowanej własności rolnej toczyła się dalej w imię praw człowieka i obywatela, wszechwładztwa ludu, wolności osobistej i wolności stowarzyszania się, nienaruszalności własności prywatnej. Dopiero rewolucja roku 48 ujawniła, że przewrót polityczny nie jest przewrotem społecznym, że republika parlamentarna nie jest niczym innym, jak pouczaniem zjednoczonej burżuazji o czystej formie. Maska musiała opaść. Arsenał ideologiczny Wielkiej Rewolucji zaczął zawadzać w nowej sytuacji społecznej. Mieszczanie zobaczyli przed sobą robotników. Aby ocalić swoje panowanie klasowe, aby zapewnić spokój i bezpieczeństwo, konieczne dla prowadzenia interesów, odwołać się musieli do pomocy awanturnika, stojącego na czele lumpenproletarjatu i wojska.

Rok 1848 jest momentem przełomowym w historii nowoczesnej kultury. Jest to rok, w którym burżuazja jako całość wyrzeka się własnej przeszłości i własnego dziedzictwa, w którym zdradza sprawę postępu.

„Burżuazja — pisze Marks — słusznie zdawała sobie sprawę, że wszelki oręż, ukuty przez nią przeciwko feudalizmowi, zwraca się swym ostrzem przeciw niej samej, że wszystkie wytworzone przez nią środki oświaty buntowały się przeciwko jej własnej cywilizacji, że wszystkie stworzone przez nią bogi odwróciły się od niej. Pojmowała, że wszystkie tak zwane wolności obywatelskie i postępowe instytucje atakowały jej panowanie klasowe, a przeto stały się **socjalistyczne.** W tej groźbie i w tych atakach dostrzegła słusznie tajemnicę socjalizmu... Czy chodziło o prawo petycji, czy o podatek od wina, o wolność prasy, czy o wolny handel, o kluby, czy o ustawę samorządową, ochronę wolności osobistej, czy uregulowanie budżetu państwowego — wciąż powtarzało się to samo hasło, temat zawsze pozostawał ten sam, wyrok był zawsze gotów i brzmiał niezmiennie: socjalizm! Za socjalizm uznano nawet burżuazyjny liberalizm, — oświatę burżuazyjną, burżuazyjną reformę finansów. Socjalizmem było budować kolej tam, gdzie już istniał kanał i socjalizmem było bronić się kijem, gdy atakowano cię szpadą".

Zadaniem historyka jest nie tylko opis faktów społecznych w całym bogactwie ich indywidualnych, jednorazowych, przypadkowych kształtów, ale ukazywanie praw rozwoju społecznego, które pozwalają rozumieć i wyjaśniać zachowanie się grup społecznych i obiektywny sens przemian kulturalnych, politycznych, gospodarczych.

„18 Brumaire" Karola Marksa stał się wzorem rozprawy historycznej nie tylko dlatego, że przyniósł prawdziwy i dramatyczny, pasjonujący i odkrywczy opis trzech lat dziejów Francji od komedii powszechnego zbratania w r. 1848 po parodię cesarstwa w r. 1851. „18 Brumaira" stał się szkołą historii, ponieważ na przykładzie rewolucji 48 roku i zamachu stanu Ludwika Napoleona ukazał **typową** sytuację społeczną, wzorowy model walki klasowej, która powtarzać się będzie **wielokrotnie**, ilekroć w społeczeństwie kapitalistycznym, gdzie przeważającą większość stanowią masy zacofanego chłopstwa i drobni wytwórcy, burżuazja poczuje się zagrożona przez rewolucyjne roszczenia robotników.

Nie za pomocą teoretycznych wywodów, ale przez proste zestawienie cytat pragnę pokazać ową **powtarzalność** i **typowość** procesów historycznych. Oto obraz, który ukazuje nam trwałość, przerażającą trwałość i niezmienność ideałów reakcjonistów. Kiedy odrzucimy imiona aktorów i nazwy geograficzne, dostrzeżemy w stroju z połowy XIX wieku panikę, przerażenie i głupotę współczesnego mieszczańskiego łyka, który zagrożony w swoim posiadaniu oskarża wszystko i wszystkich: technikę i literaturę, miasta i szkoły, rząd i filozofię, widząc tylko jedną drogę ocalenia — dyktaturę generałów dywizji.

„Jedni pragnęli Cesarstwa, drudzy Orleanów, inni jeszcze — hrabiego de Chambord, a wszyscy godzili się na nieodzowność decentralizacji. Proponowano różne sposoby: podzielić Paryż na mnóstwo dużych ulic, aby je przekształcić w wioski, przenieść siedzibę rządu do Wersalu, w Bourges umieścić szkoły, znieść biblioteki, oddać wszystko w ręce generałów dywizji. Wielbiono wieś, gdyż analfabeta posiada więcej zdrowego rozsądku niż inni! Pieniła się nienawiść, nienawiść do nauczycieli szkół początkowych oraz kupców winnych, do kursów filozofii i wykładowcy historii, do powieści, czerwonych kamizelek, długich bród, do wszelkiej niezawisłości i manifestacji indywidualizmu. Należało bowiem podnieść zasadę władzy: niechaj będzie sprawowana w imię czegokolwiek bądź, niech przyjdzie skądkolwiek, byleby to była siła, **władza**".

To Marks? Nie! To Flaubert w „Szkole serca". Raz jeszcze dla pognębienia przeciwników możliwości obiektywnego poznania historycznego stwierdzimy tę zadziwiającą zgodność obrazu francuskiego mieszczucha u wielkiego pisarza mieszczańskiego i wielkiego teoretyka komunizmu. Oto w „18 Brumaire'a" czytam:

„Wyobraźcie sobie pośród tej paniki w interesach francuskiego bourgeois, którego zwariowany na punkcie handlu mózg torturują, szarpią, ogłuszają pogłoski o zamachu stanu i przywróceniu powszechnego prawa wyborczego, walka parlamentu z władzą wykonawczą, spiski komunistyczne w południowej Francji, reklamowanie rozmaitych kandydatów na prezydenta, jarmarczne wróżby pism, groźby republikanów, że z bronią w ręku będą bronili konstytucji i powszechnego prawa wyborczego, listy apostolskie z emigracji od bohaterów in partibus, zapowiadające koniec świata na 2 maja r. 1852 — a zrozumiemy, dlaczego burżuazja pośród tego niewysłowionego zgiełku i chaosu różnych furii, rewizji, prorogacji, konstytucji, konspiracji, koalicji, emigracji, uzurpacji i rewolucji woła zduszonym od wściekłości głosem do swej republiki parlamentarnej: **Raczej straszny koniec, niż strach bez końca".**

Kiedy w listopadzie r. 1851 londyński „Economist" ogłosił: „Na wszystkich giełdach Europy prezydent uznany został teraz za stróża porządku", los republiki parlamentarnej został przesądzony. Zamach stanu musiał nastąpić.

5. WÓDZ

„Starał się zyskać popularność za pomocą dziecinnie niedorzecznych projektów, podkreślić swój wrogi stosunek do Zgromadzenia Narodowego i dać do zrozumienia, że ma w zanadrzu tajemnicę i że tylko pewne okoliczności stoją na razie na przeszkodzie otwarciu przed ludem francuskim ukrytych w nim skarbów. Tak na przykład wniosek o udzielenie podoficerom dodatku w wysokości 4 sous dziennie, jak również projekt założenia honorowego banku pożyczkowego dla robotników. Dostawać pieniądze w podarunku lub w postaci pożyczki — oto była perspektywa, którą spodziewał się zwabić masy. Podarunki i kredyt — w tym streszcza się wiedza finansowa lumpenproletariatu, zarówno dystyngowanego jak pospolitego. To też były to jedyne sprężyny, jakie umiał puszczać w ruch Bonaparte. Nigdy jeszcze żaden pretendent nie spekulował bardziej trywialnie na trywialności tłumu".

Publicystyka międzywojenna usiłowała nam narzucić apokaliptyczne spojrzenie na wszelkiego rodzaju, gatunku i autoramentu „wodzów" zbrojnego przewrotu. Odkrywano w nich demonizm zła lub demonizm geniuszu. Udowadniano ich wielkość. Dopiero ujawnione dokumenty i groteskowe zachowanie się tych „dyktatorów" na ławie oskarżonych pozwalają dostrzec ich rzeczywiste oblicze — podłych i nikczemnych, a przede wszystkim małych ludzi.

Zmuszeni jesteśmy powtórzyć za Marksem pytanie: „W jaki sposób mogło trzech szalbierzy zaskoczyć 36 milionowy naród i bez oporu wziąć go do niewoli?"

Marks nie zajmuje się odsłanianiem bogactwa duszy Ludwika Bonaparte. W społecznej strukturze Francji i historii walk klasowych odnajduje przyczyny, które pozwoliły przeciętnemu szalbierzowi stać się zbawcą społeczeństwa burżuazyjnego. Obojętne są indywidualne rysy chorego na raka, biolog pokazuje przyczyny, które wywołać musiały złośliwą narośl na ciele narodu. I dlatego, i tylko dlatego nową, zadziwiającą i nieoczekiwaną jest współczesność „18 Brumaire'a" i możność odnalezienia w zamachu stanu z roku 1851 prototypu i pierwszego modelu faszystowskich przewrotów z lat międzywojennych. Czytajmy:

„Pod płaszczykiem towarzystwa dobroczynności zorganizowano lumpenproletariat paryski w tajne sekcje, z których każda była kierowana przez agentów bonapartystycznych, na czele zaś całości stał bonapartystyczny generał. Obok zrujnowanych hulaków dwuznacznego pochodzenia i o dwuznacznych środkach utrzymania, obok podupadłych i awanturniczych latorośli burżuazji — włóczęgi, byli żołdacy, zwolnieni kryminaliści, zbiegli galernicy, łotrzyki, kuglarze, lazzaroni, złodzieje kieszonkowi, żonglerzy, szulerzy, alfonsi, właściciele lupanarów, tragarze, pismacy, kataryniarze, gałganiarze, szlifierze noży, pobielacze rondli, żebracy, słowem cała ta nieokreślona, luźna, we wsze strony miotana masa, którą Francuzi nazywają bohemą. Z tego to pokrewnego żywiołu utworzył Bonaparte jądro Towarzystwa 10 grudnia, „towarzystwo dobroczynności", ponieważ jego członkowie, podobnie jak Bonaparte, czuli potrzebę czynienia sobie dobrze kosztem pracującego narodu. Ten Bonaparte, który staje na **czele lumpenproletariatu,** Bonaparte, który jedynie w tym środowisku odnajduje odtworzony w skali masowej własny interes osobisty, który w tych odpadkach, wyrzutkach, szumowinach wszystkich klas widzi jedną klasę, na której bezwarunkowo może się oprzeć — to prawdziwy Bonaparte. Stary zblazowany hulaka patrzy na historyczne życie narodów i na ich podstawowe akcje państwowe, jak na komedię w najpospolitszym znaczeniu, jak na maskaradę, gdzie wspaniałe kostiumy, słowa i pozy służą jedynie za maskę najbardziej małostkowego łajdactwa... W chwili, kiedy burżuazja sama grała najzupełniejszą komedię, ale z najpoważniejszą miną, z pedantycznym zachowaniem wszystkich etykietalnych przepisów dramatu francuskiego, kiedy nawpół omamiona, na wpół przekonana sama uwierzyła w uroczystą doniosłość swej działalności państwowej, w takiej chwili musiał zwyciężyć awanturnik, który komedię ujmował po prostu, jako komedię. Dopiero po usunięciu swego pompatycznego przeciwnika, kiedy sam skolei zaczyna traktować serio cesarską rolę i wyobraża sobie, że z maską napoleońską na twarzy przedstawia rzeczywistego Napoleona, dopiero wówczas staje się on ofiarą swego własnego światopoglądu — pompatycznym błaznem, który już nie historię światową uważa za komedię, lecz graną przez siebie historię, za historię światową".

6. POGARDA I ENTUZJAZM

„18 Brumaire'a" napisany został przez Marksa w r. 1852, w okresie powszechnego zawiedzenia nadziei, rozbudzonych przez Wiosnę Ludów, w okresie klęski rewolucji, w okresie tryumfu gwałtu, siły i przemocy. I nie znam książki historycznej równie namiętnej, równie gorzkiej, równie surowej, okrutnej nawet w dokonywaniu bezlitosnego rachunku z własną epoką. „18 Brumaire'a" Marksa jest nie tylko książką prawdziwą, jest książką głęboko ludzką, ponieważ budzi miłość i gniew, szacunek i pogardę, miłość i szacunek dla zwyciężonych, gniew i pogardę dla zwycięzców. I niech nikt nie mówi, że obowiązkiem historyka jest beznamiętny opis faktów i procesów społecznych. Prawem rozwoju jest zmienność historycznych celów, ale każda walka toczy się o wolność lub postęp ludzki, albo przeciwko wolności i postępowi. Ludzkim zadaniem historyka jest dokonywać wyboru wartości, budzić szacunek dla walki o postęp i godność ludzką nawet wtedy, kiedy się kończy klęską. I nie ma wyższego obiektywizmu, jak obiektywizm surowej myśli uczonego, który z gniewem i pogardą żegna zamieranie form, skazanych na zagładę, który z entuzjazmem i miłością wita bolesne rodzenie się form nowych, wyższych form społecznego życia. I nie ma wyższego obiektywizmu, jak obiektywizm zdobywczej myśli uczonego, która staje się bronią klasy, walczącej o swoje miejsce w historii, o bardziej godny wolnego człowieka porządek spraw ludzkich.

Jan Kott

MARIUSZ MARGAL

PODCZAS PROCESU GREISERA

Pogrom był zorganizowany bardzo sprawnie.

Komitet Żydowski mieścił się przy ul. Planty 7 i w tymże domu mieszkali prawie wszyscy Żydzi kieleccy. Do niedawna było ich w sumie 50, przeszło miesiąc temu liczba ta zwiększyła się o mniej więcej 120 repatriantów z ZSRR. Mieszkali razem, kolektywnie, po 3—5 w jednym pokoju, bo przeważnie byli to ludzie samotni. Mieszkali ubogo: prycze, stolik, prowizoryczna szafa, oto było umeblowanie tych jednopokojowych mieszkań. W większości była to młodzież, mieszkająca w kibucu (forma kolektywnego gospodarstwa na wzór palestyńskich), która w walce uniknęła zagłady, a teraz czeka na wyjazd do Palestyny. Miał on nastąpić następnego dnia! Nie mieli sklepów, nie rzucali się w oczy, nie można im było nic zarzucić — żyli spokojnie, co najwyżej śpiewali wieczorami hebrajskie pieśni.

Dziś Kielce są Judenrein. Plan Hitlera został w Kielcach wykonany wzorowo i napewno bardzo się teraz cieszy der Generalgouverneur, Herr Hans Frank, w odległej Norymberdze. Bo wieść o pogromie bardzo szybko poszła w świat. Już nazajutrz podawały ją stacje angielskiego BBC i Nowy York, Rzym i Sofia, Belgrad i Praga. Paryż też nadał tę wiadomość tylko poprzedził ją słowem „Allemagne". No tak, Francuzi nie bardzo orientują się w geografii.

Przez 6 godzin trwała w Kielcach rzeź. Zabijano czym bądź: nożem i siekierą, kijem i pałką, tępym narzędziem i kamieniem. Zabijano w sposób bestialski. Kilku ludzi obezwładniało złapanego Żyda, a reszta biła go, kamieniowała póki nie skonał Wyszukiwano Żydów z ukrycia, zatrzymywano pociągi nie tylko w samych Kielcach, ale i w okolicznych miasteczkach, i bito nielicznych pasażerów Żydów, aby potem nieprzytomnych lub zabitych wyrzucić na tor. Liczba 34 zabitych w Kielcach i niesprawdzona cyfra 10 trupów z okolicy Kielc powiększa się. Ranni są zbyt zmasakrowani, by mogli żyć...

Należałoby zająć się bliżej składem osobowym „dzielnej" milicji kieleckiej, wśród której byli pomagający w zbrodni, dokonanej po rozbrojeniu Żydów.

Prawda, że nikt inny po za andersowcami pogromu nie zorganizował, ale fakt ten obciąża CAŁE społeczeństwo kieleckie. Bo jeśli w przeciągu 6 godzin nie znalazł się nikt, — ani partie ani organizacje, ani robotnicy, ani inteligenci, którzy by wystąpili przeciwko rzezi, jeżeli działo się to w mieście wojewódzkim i zaczynało już przenosić do okolicznych miasteczek, gdzie z trudem znajdziesz więcej niż 5 Żydów w jednej miejscowości, to powtarzam: wszyscy mieszkańcy Kielc są obciążeni.

Na pewno nie wszyscy mieszkańcy Kielc są reakcjonistami. Na pewno nie jeden z morderców i niejeden z podżegaczy i niejeden z biernych świadków hańby kieleckiej głosował podczas referendum trzy razy „tak". Ale tu leży też sedno naszej ślepoty. Antysemityzm w Polsce występuje nietylko u sfaszyzowanych reakcjonistów. Jest on wynikiem wielowiekowej tradycji i ciasnego wychowania, a nikt tak jak Polak nie jest do swej, jakże często bzdurnej, tradycji, przywiązany. Antysemityzm wypływa z uczuciowego nastawienia Polaka i nie dziw, że masy nie potrafiły się wyzbyć dotąd księżo-trzeciakowej ideologii i świadomości, że słuszna była „i owszemowa" i „przytykowa" polityka Sławoja. Trudno będzie zerwać zaszczepiony przez „Orędowniki" i „Falangi" owoc antysemityzmu, ale co zrobiono dotąd, by ten antysemityzm z Polski wyplenić?

Równo rok temu pisał Jastrun w „Odrodzeniu" o „Potędze ciemnoty". Oburzył się wtedy Przygórski w swej odpowiedzi, twierdząc, że to nieprawda, co Jastrun napisał, że Jastrun przesadził. Że „gdyby istotnie w Polsce pozostała tylko garstka Żydów niedobitków... to nie byłoby w Polsce kwestii żydowskiej". Że „Żydzi niesłusznie widzą w reakcji straszaka, przed którym trzeba chować swoje rodowody w obawie o życie". Że wreszcie ten cały Jastruna artykuł to „przedawnione do społeczeństwa polskiego pretensje". Rok minął, a bilans tego roku to trzy pogromy, to prawie tysiąc wymordowanych Żydów, to ileś tam mniejszych i większych zajść antyżydowskich w różnych miejscowościach Polski. Przedawnione pretensje...

Wiem, napisze mi ktoś, że morduje się również i polskich działaczy demokratycznych i socjalistycznych i że to jednej ręki dzieło. Ale to przecież wcale nie o morderstwa chodzi, chociaż zupełnie co innego znaczy paść za ideę, za wolność, paść w walce, niż zostać wyciągniętym z pociągu czy auta lub zamordowanym skrytobójczo w domu czy na ulicy — za co? Nie o morderstwa chodzi, lecz o nastrój, o nastawienie społeczeństwa w sprawie Żydów. Chodzi o to, że plotka antyżydowska rozrosła się i wzrasta do rozmiarów potwornej bzdury. Chodzi o to, że kiedy w pociągu, czy na ulicy idzie szept o repatriantach Żydach, którzy dostają specjalne fundusze (i to jakie!) na zakładanie sklepów, o dzieciach żydowskich, które „kosztem polskich" otrzymują specjalne dodatkowe przydziały żywnościowe i więcej mleka, o tym, że Rosja ma jeszcze miliony Żydów przysłać do Polski, a w Polsce jest ich „już milion", ale pozmieniali nazwiska, to kołtun słucha, potakuje i dogaduje, — ale nie słyszałem jeszcze ani razu, by ktoś zaprotestował! Zresztą — biada takiemu „zdrajcy"! Chodzi o to, że kiedy Żydzi demonstrowali w Łodzi podczas pobytu komisji anglo-amerykańskiej dla spraw Palestyny, dowiedziałem się, że „nawet Araby ich nie chcą", a kiedy palestyńscy bojownicy porwali 5 brytyjskich oficerów jako zakładników, usłyszałem, że „nawet w Palestynie ludzi porywają na macę! I to dorosłych, patrzcie, patrzcie!". Chodzi właśnie i o to, że dziś, w r. 1946 wierzy się bezmyślnie w mord rytualny.

Myślałem, by zaapelować do uczucia litości dla niedobitków znękanego narodu. Żydzi ghetta warszawskiego i bojownicy „Hagany" palestyńskiej odrzucili precz litość swoim dumnym czynem.

Myślałem o zaapelowaniu do humanitarnych uczuć człowieka. Naiwność młodzieńcza! Humanitaryzm wsiąkł gdzieś w ziemię wraz z przelaną krwią milionów i nie potrafi go wskrzesić nawet tchnący miłością bliźniego „Tygodnik Powszechny" i jego pomniejsi satelici. W każdym razie nie potrafi go wskrzesić w stosunku do Żydów.

A więc trzeba nasze społeczeństwo uświadomić.

Ale cóżeście zrobili dotąd, dziennikarze i publicyści, którym została powierzona szczytna misja gruntowania opinii publicznej, by zlikwidować antysemityzm w Polsce? Po pogromie zrywa się fala artykułów, potępiających zbrodnię. Dwa, trzy dni i fala opada — następuje cisza. Do następnego pogromu. To milczenie prasy, to ciągłe zapoznanie żywotnego, niestety, problemu antysemityzmu świetnie wpływa na jego rozwój.

Co czynicie, literaci i poeci, by ów nastrój zmienić? Pisał Żółkiewski w zeszłorocznym 35 nrze „Odrodzenia", że trzeba w dzwon na alarm uderzyć. Rok minął. Cóżeście uczynili, aby społeczeństwo uświadomić? Cóżeście napisali o Żydach polskich i ich losie obecnym po za paroma sentymentalnymi wspomnieniami o Korczaku czy Oppenheimie lub o męce Żydów w obozach? Jeśli nie wy, to któż przeprowadzi akcję uświadamiającą społeczeństwo o jego bezmyślności?

Gdy szedł pogrzeb Najmana, zabitego studenta Żyda w Łodzi, gdy 1. maja maszerowały w pochodzie szeregi „Bundu" to tłum falował poszeptami, że „jeszcze ich tylu zostało", że „Hitler, psiakość nie wykończył wszystkich!" Ale czegóż wreszcie żądać od mas, jeśli PSL-owski „Piast" (Kraków!) cieszy się w czerwcu 1946 roku, że dzięki wojnie dokonało się już częściowe spolszczenie naszych miast, tak poważny problem w Polsce przedwrześniowej!

Istnieją Związki Zawodowe, wiem; robotnicy huty „Ludwików" w Kielcach piętnowali pogrom, ale w dwa dni po nim. Jest ich tysiąc. Gdzie byli w dzień rzezi? Jest ich tysiąc — to niemała liczba. Mogli dużo zdziałać. Ale, nie łudźmy się, i wśród robotników antysemityzm nie został jeszcze wytępiony.

Rząd musi otrzymać w zwalczaniu antysemityzmu pomoc prasy, literatów, partii, związków zawodowych, radia i filmu, a przede wszystkim duchowieństwa, bo inaczej — za dużo ma spraw ważnych dla odbudowującej się Polski — nie wiele będzie mógł sam zdziałać. Wszyscy razem w zbiorowej akcji uświadamiającej, osiągną bezwątpienia pozytywne rezultaty. Nie wolno dalej zaniedbywać tego problemu! Zlekceważenie jego wagi smutne przyniosło rezultaty.

Przemówić przecież można do ludzi choćby tym, jeśli już nic nie pomoże, że to przecież Polska i Polacy kompromitują się w oczach świata! Że na każdej konferencji z dziennikarzami zagranicznymi w Warszawie padają pytania dotyczące sytuacji Żydów polskich! Zagranicą dziwią się, nie mogą zrozumieć, że po to świat krwawił lat tyle, by teraz ludzie ginęli za swe pochodzenie.

Ale przemówić trzeba szybko, bo co raz to nowe przychodzą wiadomości z różnych stron Polski o zajściach antyżydowskich, bo coraz gwałtowniej szerzy się po kraju wieść o dokonywanych przez Żydów mordach na dzieciach chrześcijańskich. Zaś w małych miasteczkach drżą nieliczni bezbronni Żydzi, którzy wracali do Polski w nadziei, że do swojej wracają ojczyzny.

Mariusz Margal

KAZIMIERZ BRANDYS

LATO

Zawsze kochałem Francję. Jej dzieje towarzyszyły mi od dzieciństwa i tęskniłem za nimi, jak za burzliwą powieścią, której chętnie zostałbym jednym z bohaterów. Nikomu nie zalecam wszakże metody naukowej która mi odsłoniła przeszłość tego kraju. Nie była to metoda ścisła. Cudza wyobraźnia zaludniała mi pamięć wymyślonymi postaciami. Muszkieter Portos miał w niej swe miejsce obok kardynała Richelieu, Anioł Pitou i obywatel Saint-Just byli bohaterami wspólnego eposu, a detektyw Javert pozostał nie mniej realny od pana Guizot i Gambetty. Ludzie z romansów i ludzie historii mieszali mi się w jednej panoramie walk, intryg i miłości. Nazywałem ją historią Francji. Dorastałem powoli, wzbierała we mnie dziwna potrzeba smutku i mądrości, stare powieści okrywał pył, i wreszcie mogłem stwierdzić, że Jean Valjean abdykował w mym sercu na rzecz Juliana Sorel, a młody Fryderyk Moreau dokonał rewolucji przeciw hrabiemu de Charny. Burzliwa była moja historia Francji. Wiedziałem z wszelką pewnością, że Lucjan de Rubempré przewyższał talentem Eugeniusza Sue i tylko podstępy przeszkodziły mu w zdobyciu sławy. Nie mogłem gardzić za małoduszność kochankami Emmy Bovary, podobnie jak nie potrafiłem obawiać się Robespierra za krwawe dni terroru. Ci źli kochankowie żyli temu sto lat i dawno musieli spoczywać w cieniu jakichś drzew, a Robespierre zginął na szafocie: wiedziałem o tym dobrze. Był osobliwy urok w tym pomieszaniu prawdy z wyobraźnią i znajdowałem rozkosz w fakcie, że Benjamin Constant z historii był Adolfem z powieści, a Napoleon Mały księciem z „Tajemnic Paryża".

Powieść o Francji wzbogacała się wciąż nowymi postaciami. Przysuwały się do mnie coraz bliżej. Niektóre sięgały mego dzieciństwa śmiercią, jak Clemenceau i Joffre, inne — chwilą przyjścia na świat, jak księżna Guermantes lub Colas Breugnon. Pamiętam obszerne berety oficerów francuskiej misji, które spotykałem na drodze do parku, gdy liczyłem nie więcej lat niż Rastignac w dniu śmierci Napoleona. Piękne dzieje tego kraju doścignęły mnie u progu wojny. Czekałem spragniony nowych wieści i nowych postaci, ale już bogatszy o „Czasy pogardy" i ich bohaterów. Wierzyłem z głębi serca, że nie ulegną tym, którymi gardzili — oni i ja, Paryż i Warszawa, pola Szampanii i równiny Mazowsza. Była wówczas w Warszawie nadzieja i tęsknota. Tęsknota za Marną, nadzieja Verdun.

Wszystko odbyło się tak szybko. Dziś nie ogarniam pamięcią tych skwarnych, śpiesznych dni, kiedy historia prześcigała czas. Wtedy trudno je było ogarnąć rozumem i zmieścić w mózgu ogromne nagłówki pism. Czarne nekrologi francuskich miast witały nas codziennie z pierwszych stron gazety. Skalda, Marna, Arras, Abeville. Te nazwy miały w sobie jakiś zwycięski dźwięk, jak lity kruszec, który nie pęka od ciosu. Zbyt wielka nam się działa krzywda w okrutnej porażce tych nazw. Opowieść francuska wdarła się nagle w nasz los fragmentem, w którym zabrakło wodzów i bohaterów. Przemieściłbym jej układ, pozamieniał postacie, wynalazłbym Carnota ze starych stronic zwycięstwa, aby

Leopold Flameng — Polska Marsylianka

mu raz jeszcze powierzyć obronę sztandarów! Małego generała, który niegdyś odparł szturm na Tulon, wyrwałbym z rozdziału o dyrektoriacie, wskrzesiłbym wodzów Frondy i wodzów spod Jeny! Na kartę dziejów Francji wyległy bowiem dawne pola bitew i miasta nieobce wojnie. Lud warszawski poznawał geografię kraju, którego zwycięstwa nigdy nie były mu wrogie. I nie chciał wierzyć w jego klęskę, gdyż nie chciał się rozstać z nadzieją.

Gorące lato wylało się wówczas na miasto. Wczesną zieleń drzew wypijał skwar, kurz był miałki jak popiół Wywlekała nas z domu chęć włóczęgi po parkach, z dala od tłumu niemieckich gęb, który roił się na chodnikach. Tłukła się w nas rozpacz i wściekłość na widok zadów koloru feldgrau i tępych, ryjowatych pysków, w które chciało się pluć wszystką żółcią wstrętu. Cięciwa mostu wiodła nas nad rzekę, miasto dotykało tu nieba smukłą przełęczą wolne od dymów i zgiełku. Staliśmy wsparci o barierę, patrząc, jak płynie Wisła. Mówiłem wtedy Mariannie: — W zeszłej wojnie w Paryżu padały pociski. A jednak nie puścili ich dalej. Teraz nie walczy się o miasta, lecz o linie oporu. Mogą oddać Paryż i bronić się nad Loarą.

Ale Marianna jest mądra i posępna. Jej brwi ściągają się nad małym nosem w niechętną fałdkę. Milczę więc. Porzuciłem linię obrony na Loarze. Linia Wisły płynie u naszych stóp. Wątłe mosty w piaskich pejzażach francuskich wzdrygają się od świstu bomb. W płowym pyle normandzkich dróg wędrują uciekające armie. Dym mąci słoneczne krajobrazy mgłą, której nie znała paleta z Aix; powietrze nad Dunkierką drży inaczej, niż błękit barbizończyków. Jak mocno kocham teraz Francję, która bez zapału walczy nie tylko o polski Gdańsk! Opuszczam ręce nad bezbronną Wisłą i myślę, że jestem starszy o niecały rok od tego kraju, który wkroczył w wojnę później, niż ja. — Wróćmy do miasta, Marianno. — Wracamy do miasta. Generał Weygand został naczelnym wodzem. — Nie wszystko jeszcze stracone, Marianno.

Zasypialiśmy z ulgą, że oto czas zacznie płynąć bez naszego udziału i noc dokona się nazewnątrz nas. Ciążył nam już ten obowiązek czujności na każde słowo z frontu i obowiązek nadziei wbrew najgorszym wieściom. Niechże nam pozwolą tę noc przespać spokojnie, niech o Paryż martwi się Weygand, czuwaliśmy przecież we wrześniu; nasza ojczyzna nie leży w każdym z oblężonych miast.

Lecz zapadaliśmy w sen, by ujrzeć w nim wrzesień warszawski w wędrówce przez żółte od słońca drogi w dolinach Aisny i wory z wiślanym piaskiem u stóp brązowej dziewczyny na Łuku Zwycięstwa. W snach również przychodził do mnie mój dziadek i brał mnie na kolana, jak dawniej, pozwalając oglądać zegarek z miniaturą, na której widniała smutna twarz z bródką cesarza spod Sedanu.

Ojciec wieczorem stawiał pasjanse, z których wynikało niezbicie, że Paryż się obroni. Siedział zgarbiony nad stołem, jak dowódca nad sztabową mapą, i długo ważył w palcach kartę wyjętą z talii. Z namysłem wyznaczał pozycje dla nowoprzybyłych posiłków, przesuwając króla kier pod asa, na wolne miejsce po pikowej damie. Patrzałem nad jego ramieniem, pokazując palcem jakąś lukę w systemie obronnym, a on mruczał wówczas z wyższością, że wie o tym dobrze i uważa to za rzecz równie niegroźną, jak wzięcie do niewoli generała Giraud. Tak broniliśmy Francji. Matka wnosiła kawę i nakrywała serwetą połowę stołu; druga to było nasze pole bitwy, gdzie generał Weygand odpierał napór pancernych zagonów niemieckich. Kawa stygła, gdy w milczeniu rozgrywaliśmy wojnę o Paryż. Pochylaliśmy się z ojcem nad pasjansem, nie patrząc na nią; w domu było cicho, tylko samotny kasztan na podwórzu szeleścił czasem. W bramie na ławeczce siedział dozorca i zadzierał głowę ku gwiazdom. I on chciał z nich coś wyczytać o francuskiej wojnie.

Nie dziwmy się temu. Nie wzruszajmy ramionami z litością nad miastem, które wierzy w cudy. Jest to miasto osobliwe w osobliwym kraju. Pamiętacie, że nad polem Grunwaldu rozstąpiły się chmury, ukazując postać z dzieciątkiem w momencie, gdy groźnie się ważyły niepewne szale bitwy? Chłopcy z Woli i z Muranowa, z Ochoty i ze Śródmieścia uczyli się o tym w szkołach. Polska to ziemia cudów i ludzi wierzących. Nad Wisłą zdarzył się niedawno; czy nie może stać się jutro nad Sekwaną?

Nie śmiejcie się więc z mego ojca, który szukał obrony Paryża w tajemniczym zrządzeniu kart, ani z dozorcy, który szukał w gwiazdach. Tylko wróżby, kabały i gwiazdy zostały nam wówczas w Warszawie; nam, którzyśmy wierzyli mocniej od generała Weygand, że Paryż nie padnie, dla których siła Francji była bardziej niezłomna, niż dla jej ministrów. Któżby w Paryżu mógł wówczas zrozumieć tę dziwną wiarę warszawską w trójkolorowy sztandar? Czy żołnierze w błękitnych hełmach dzielniej broniliby fortów, gdyby się dowiedzieli, że sędzina z trzeciego piętra naszej kamienicy modli się w kościele co rano słowami Marsylianki? — Klękam, proszę pana, w bocznej nawie przed obrazem świętego Jerzego i zmawiam: „Allons enfants de la patrie, le jour de gloire est arrivé. To przecie nie może być grzech?"

Nie, to nie może być grzech. Oto Warszawa w dniach klęski, Warszawa spragniona nadziei i zawsze wierząca w wolność Paryża, w którym niedawno Francuzi krzyczeli do cara: — Vive la Pologne, monsieur!

Niebo nad miastem było głębokie i czyste w dniu, kiedy upadł Paryż. Nie pomogły wróżby z kart i gwiazd. Był jakiś los warszawski w tych pogodnych błękitach, które zsyłały dni klęski. Czyż zawsze rozpacz na ziemi musi się dziać pod niebem wolnym od chmur?

JAN KOTT

Dyskrecja katolików czyli tajemnica kościoła

Niezmiernie dokładne, precyzyjne i stanowcze były wskazania pism katolickich jak głosować w referendum ludowym.

„Tygodnik Warszawski" pisze: „Każdy Polak-katolik głosuje zgodnie z etyką i swoim sumieniem". To rozumiem, przynajmniej jasno powiedziane.

„Dziś i Jutro" organ katolików radykalnych, dynamicznych i kinetycznych, już w nieco bardziej zawiły sposób prosi czytelnika o danie takich odpowiedzi, za które mogą przyjąć całkowitą, wewnętrznie przeżytą i względami doraźno-politycznymi nie umniejszoną odpowiedzialność. Dobry styl jezuicki.

Dostojny i ostrożny „Tygodnik Powszechny" na stronie 3 stwierdza z równą dyskrecją: „każdy katolik winien głosować z pełnym poczuciem odpowiedzialności i zgodnie ze swoim katolickim sumieniem". To także bardzo jasne. Na szczęście, na ostatniej stronie petitem w rubryce „Bez ogródek" rąbek tajemnicy kościoła został leciutko uchylony. W odpowiedzi na zarzuty „Rzeczpospolitej" p. L. K. pisze, co następuje:

> *„Rzeczpospolita zbywa żartami zagadnienie, które jako etyczne, jest zagadnieniem poważnym. Jako polityczne, jest oczywiście zagadnieniem niepoważnym — dopisek mój). Taką jest sprawa reformy rolnej, względnie nacjonalizacji przemysłu. Takim zagadnieniem etycznym jest też sprawa granic. (Jak powszechnie wiadomo reforma rolna, nacjonalizacja przemysłu i granice państwowe są to zagadnienia życia wewnętrznego, wiecznego statutu osobowości ludzkiej, skażenia natury przez grzech pierworodny i oddziaływania łaski,—dopisek mój). Dla nas, katolików wyznających pryzmat etyki nad polityką, sprawa poruszana przez „Rzeczpospolitą" jest sprawą sumienia. I dlatego bardzo ważną. (To „dlatego" ma swój smaczek — d. m.). Rozważmy ją w świetle nauki kościoła o własności (II pytanie) i o prawach narodu (III pytanie). Odpowiedź na drugie pytanie jest dla nas jasna po zaznajomieniu się z oficjalnymi wypowiedziami Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza Piusa XII, któreśmy ostatnio przytoczyli. Natomiast (to przeciwstawne, ale dyskretne natomiast również jest warte zapamiętania. d. m.), pozytywna odpowiedź na III pytanie (granice) wynika z nauki teologii katolickiej o prawach narodu. Według niej naród zdolny do utrzymania państwa ma prawo do takich granic, które by mu zagwarantowały suwerenność i dały warunki konieczne do życia. Granica Odra — Nysa niewątpliwie jest z tego względu konieczna dla Polski. Dlatego na trzecie pytanie można odpowiedzieć: „tak".*

Chwała Bogu i papieżowi Piusowi XII, że po tych wywodach, które są arcydziełem cynizmu i perfidii, wreszcie p. L. K. wyjąkał ze stękaniem i bólem, że na trzecie pytanie referendum **można** odpowiedzieć: tak. To nie są żarty! Uchylanie się od jasnej i zdecydowanej odpowiedzi na pytania referendum przez wszystkie pisma katolickie w Polsce, które reprezentują, jak same przynajmniej twierdzą, żywą, historyczną, aktualną myśl katolicką, jest dowodem albo tchórzostwa, albo braku jakiejkolwiek myśli politycznej, jakiejkolwiek odpowiedzialności, jakiegokolwiek konkretnego programu działania tych, co występują w imieniu obozu katolickiego w Polsce. Rozumiem jeszcze milczenie oficjalnych reprezentantów kleru i kościoła, ale pisma katolickie, ale ideowe ugrupowania katolickie po to przecież chyba istnieją, aby zabierać głos, aby znaleźć swoje miejsce na ziemi, aby w jakiś sposób wpływać na bieg przemian. Grymasy nie zastąpią programu! I nic nie pomoże, że choromańskie piwowarczyki zezują na M. R. P.: chwalą się wyborczymi sukcesami katolików belgijskich, francuskich, niemieckich czy włoskich. M. R. P. ogłosiło wyraźny i jasny program społeczny i polityczny, M. R. P. miało odwagę wyboru i żaden z przywódców katolicyzmu francuskiego na pytania o granice kraju nie odpowie jezuickim: **może**.

A we Włoszech, a w Niemczech? Tam kościół katolicki i jego dostojnicy już nie są tak dyskretni! Papież Pius XII przy pomocy wszystkich możliwych środków nacisku wpływał na Włochów, aby głosowali za utrzymaniem monarchii, a dyplomacja watykańska robiła co mogła, aby w czasie wyborów w amerykańskiej strefie okupacyjnej w Niemczech dopomóc Christisch Sociale Union, która broni w imię poszanowania własności ciężkiego przemysłu wojennego. Widocznie, jak pisał Pascal, pojęcia dobra i zła różnią się po obu stronach rzeki (Renu). Widocznie inne jest życie wewnętrzne i problemy moralne katolików włoskich i niemieckich.

Rzadko kiedy zgadzam się ze Stefanem Kisielewskim, ale muszę mu przyznać rację, kiedy pisząc o „Dziś i Jutro" szydzi z radykalnych katolików, którzy deklamują o sprawiedliwości społecznej i potrzebie reform, a biorą wodę w usta, ilekroć przychodzi do stwierdzenia o **jaką** sprawiedliwość, o **jakie** reformy chodzi. „Bez tego sprecyzowania — słusznie pisze Kisielewski — nie ma w ogóle żadnego programu społecznego, radykalizm jest wtedy czysto werbalny, wisi w próżni".

Niestety, tajemnica kościoła przestrzegana jest równie ściśle w redakcji „Tygodnika Powszechnego" i „Tygodnika Warszawskiego". Milczą, albo mówią: **może**. Szkoda, że katolicy nasi nie czytają ani Pisma Świętego ani pisma Ojców Kościoła. Przypomnę: „I wyplułem ich z uściech moich, ponieważ nie byli ani zimni ani gorący, jeno letni".

I jeszcze: „Monosylabowa jest mowa chrześcijanina, którego słowami być powinno: tak-tak, nie-nie".

I cóż mi z personalizmu, kiedy zamiast „tak i nie", słyszę — „może"?

Jan Kott

1 9 4 0 *)

Tego dnia miałem spotkać Mariannę na Placu Unii. Spóźniała się. Stałem w cieniu kwiaciarni, patrząc jak lotnik pogrąża w niebie swe kamienne wiosło. Wysoko nade mną biały obłok mijał stromą ścianę domu, jak burtę okrętu. Tramwaje okrążały plac, zgrzytając na pętli. Było gorąco, sennie, wydało mi się na moment, że nic się tu złego nie może stać; gdy nagle od Marszałkowskiej rozległ się ów krzyk.

Mali chłopcy biegli ku mnie szeroką jezdnią z białymi pękami gazet. Wyrośli się jednocześnie na wszystkich rogach placu, krzycząc cienkimi głosami wśród tłoczących się ludzi. Mignęły na chwilę w czyichś rękach czarne czcionki tytułu i zrozumiałem, że tylko krok dzieli mnie od chwili, która stanie się dniem — ale jednak zacząłem przepychać się do gazeciarzy, wołając coś do nich i do ludzi, co zagradzali mi drogę. — Gazeta! Gazeta! — wrzeszczałem, wystawiając rękę z pieniędzmi. — Co pan się drzesz? Już po wszystkim — burknął za mną czyjś głos. Ale dopchnąłem się wkońcu. W środku zbitej grupki stał mały mikrus, ściśnięty z wszystkich stron jak pestka, i płakał sprzedając dodatek. Stanąłem tuż przed nim a on wycierał oczy brudną pięścią, cały zasmarkany, i krzywił się: — Masz pan, dawaj pan, masz pan, jeszcze złotego, nie pchać się. Paryż wzięli, takie skurwysyny, dawaj pan, no... takie skurwysyny... — Wziąłem gazetę i stałem wciąż przed nim; ludzie wyskakiwali z tramwajów i biegli, napierano na nas z tyłu coraz ciaśniej, plac znieruchomiał w krzyku i zgrozie, mały gazeciarz płakał, wymyślał i gniótł pieniądze w pięści. Chciałem coś z nim uczynić, pocieszyć jakoś, ale sterczałem tylko, gapiąc się w te małe oczy, z których ciekły łzy. Zepchnięto mnie wkońcu na bok, chwiałem się więc na skraju chodnika i podniosłem gazetę do oczu. Potem naraz osłabło coś we mnie, zacząłem się wlec prosto przed siebie i patrząc po ludzkich twarzach, rozróżniałem tę, która już wie, i tę, która nie wie jeszcze. Miasto zamarło mi na moment, zatrzymałem się chwilę koło jakiegoś przejścia, gdzie czytał ktoś głośno przechodniom komunikat o kapitulacji, osłaniając twarz płachtą gazety. Wmieszam się tutaj między nich, bo oto zbliża się Marianna, nie wiedząc jeszcze, niechże mnie więc nie spostrzeże póki się nie dowie. Jest jakiś wstyd w rozpaczy. Idę za nią kilka kroków, ona opiera się o poręcz tej samej kwiaciarni, przy której stałem ja przed chwilą, gdy Paryż jeszcze był wolny, czyta powoli, nie widzę jej oczu: tak, Paryż upadł, Marianno, ale bądź teraz sama, nie zobaczysz mnie, pójdę jeszcze za tobą nie dalej, niż starczy mi sił.

Stoimy przez chwilę, ona w cieniu markizy, ja ukryty za ścianą domku dla tramwajarzy, i czekamy na mnie, który miałem tu przyjść, ale nie przyjdę, bo więcej we mnie smutku, niż trzeba na dwoje. Marianna odchodzi wreszcie, widzę jej włosy spięte nad białą bluzką, idę za nią do rogu, patrzę, czy nie przejeżdża auto i odprowadzam ją oczami do miejsca, w którym Marszałkowska wpływa w Śródmieście szarym łożyskiem asfaltu. Poczem okrążam plac i skręcam w Polną. Tam miasto ukazuje mi potężny odłam swego masywu, osiadły wokół odsłoniętej płaszczyzny, na której ogier Faust wygrał niegdyś Derby w roku mojej promocji do klasy siódmej. Tędy zajdę drogą nienajprostszą, ale najweselszą, wzdłuż filtrów, zgodnie z wolą drzew i szyn, aż na brzeg Ochoty do mojego domu.

Ruszam więc. Idę powoli, mijam kapliczkę w kwiatach na placyku, na którym jeszcze przed rokiem policja rozpędzała studentów. Wybijam takt gazetą na prętach parkanów, dziewczyna na rowerze z bzem u kierownicy zostawia mnie w tyle. Tędy czasem wracałem ze szkoły, przedłużając drogę cenzurce ze złym stopniem, o którym nie wiedział mój ojciec. Pusto tu, cicho, drzewa stoją przy domach, jak drogowskazy dla chmur, które płyną nade mną. Widzę z daleka dom i okno mojego pokoju.

Widzę po chwili z bliska plecy nad pasjansem i stoję w progu jadalni, jak dawniej z dwójką, której nie można dłużej taić. Słychać szelest kart i stukanie wahadeł, gdy mówię:

— Wzięli Paryż, ojcze. Były dodatki.

Zegar w tej chwili wybija godzinę i wstydzi za tę inscenizację w pospolitym guście. Stoję w drzwiach, jak nieporadny aktor, i patrzę w zmienioną twarz i postarzałą głowę, z której przed moim urodzeniem strącono w Paryżu cylinder.

— Drażnicie mnie wszyscy — mruczy ojciec, mieszając powoli rozłożone karty. — Mówiłem ci nieraz: Paryż nie znaczy całej Francji. Spójrz na mapę. Weygand to uczeń Focha i wie gdzie się bronić.

Travies L'ordre regne a Varsovie 1831

Została jeszcze Loara. Spójrz na linię Loary, a zrozumiesz wszystko. Daleko nam do francuskiego sensu. Loara! — I podniósł palec z tajemniczą wyższością, którą dawała mu znajomość kart, biegu Loary i Francji.

Została więc Loara, którą znał mój ojciec. Niechże więc będzie Loara i zamki nad Loarą, które zwiedzali oboje w poślubnej podróży. Milczałem, uznając ze ściśniętym sercem tę ich linię oporu, którą porzuciłem już dawno, gdy Wisła płynęła u mych stóp w pierwszych dniach drugiej klęski.

Ale nie traćmy nadziei, żyjemy w kraju cudów i oto staje się jeden z nich. Warszawa odzyskuje wiarę i znów zaczyna ufać przyszłości. Upadł Paryż? Nie oparła się Dunkierka? Ale Anglia nie składa broni. Przyszłość! Słowo to mieści w sobie ogromne potęgi, unikajmy konkretów na rzecz wartości nieokreślonych, z którymi można związać wszystkie chęci serca. Przyszłość. Nie Marna, nie Dunkierka, nie linia Maginot, ale dzień, który jeszcze nie nadszedł, ale poranek, gdy bruki warszawskie zatętnią od kopyt szwoleżerskich koni, i nieznana jeszcze noc, gdy pruski jad zacznie wyciekać chyłkiem na zachód, wszystkimi wylotami miasta.

Słuchajmy, słuchajmy, jak zmienia się tonacja warszawskiej otuchy, przyłóżmy ucho do jezdni, aby usłyszeć turkot stalowych wozów, które kiedyś przyniosą tu wolność; słuchajmy, jak miasto odnajduje moc trwania w swych tajnych rezerwach. Forty Paryża były mniej mocne, niż fort nadziei warszawskiej, który potrafi się bronić samotnie i wzniośle, bez pomocy z zewnątrz.

Jak odtąd będziemy żyli? Spadło z nas odium niedołęstwa, stolica Polski nie broniła się krócej przed najazdem, niż miasto - słońce, metropolia Europy, symbol potęgi kontynentu — Paryż Burbonów i Bonapartych, Paryż Joffre'a i Focha, Poincaré'go i Clemenceau. Ta klęska wyniosła nas wyżej niż sądził świat, wyniosła nas w naszych własnych oczach do rzędu wielkich stolic, które uległy bodaj mniej mężnie, niż my: Warszawa, Haga, Bruksela i Paryż! Nie jesteśmy samotni, nie ciąży na nas wstyd. Ale jak odtąd będzie żyć to miasto, a w nim my, którym niechęć do utrapień niezmiennie podsuwa widok obiecanej wiosny i zwycięskiej stolicy nad zwycięską rzeką?

Czekajmy, czekajmy na cud, który przyniesie przyszłość, żyjemy w mieście osobliwym, odmiennym od innych miast, nie ma logiki dla warszawskich serc, wszystko stać się musi podobnie, jak chcą ulice Powiśla, jak pragnie Nowy Świat. Wkraczamy w okres pozarozumowy, nie usiłujmy ważyć naszych szans, nie przenikajmy ściany, za którą czai się groza. Będzie to okres irracjonalnej wiary w sprzyjający los i okres spraw warszawskich, których dziś jeszcze nie ogarnie rozum. Jest czerwiec. Rok czterdziesty. Nie znamy jeszcze pewnych nazw. Nie znamy miejsc na mapie, których wspomnienie będzie wkrótce przejmować nas lękiem, i pospolitych słów, brzmiących podobnie jak śmierć. Nauczymy się owej mądrości i tych nowych słów.

Jest czerwiec. Pojutrze obrońca Verdun połączy swe imię z Vichy. Chłopi z Owernii, tkacze z Lionu i górnicy z Lille składają broń w miastach, które padły. Nie prędko usłyszymy dźwięki Marsylianki.

Kazimierz Brandys

*) Fragment opowieści o Warszawie p. t. „Miasto Niepokonane", która ukaże się wkrótce nakładem Spółdz. Wyd. „Książka".

Spóźniona książka

Mieczysław Tobiasz: „Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce". Szkic. Kraków 1946 str. 194+2 nlb.

Nietylko szkody materialne (w księgozbiorach i rękopisach przygotowanych do druku) wyrządziła okupacja nauce polskiej; książka dra Tobiasza pt. **„Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce"** reprezentuje inny rodzaj dewastacji, metodycznej i ideologicznej, jaką niosły warunki okupacyjne. „Książka ta powstała w najtragiczniejszych dniach wojny, gdy śmierć siała naokoło zniszczenie i każdemu z nas zaglądała codzień w oczy" — notuje autor w powojennej już przedmowie. Te dni wojny wycisnęły złe piętno na książce, która siłą ówczesnych konieczności psychicznych szukała odpowiedzi na natarczywe pytanie „kto winien?", a zarazem nie potrafiła rozwiązać żywotnej sprawy narodowej inaczej, jak optymistycznym: my nie jesteśmy źli, przeciwnie, jesteśmy lepsi niż inni.

Znaliśmy już to rozwiązanie w historiografii i publicystyce z poprzedniej wojny, a związek „Ducha dziejów Polski" Antoniego Chołoniewskiego z ówczesną sytuacją polityczną Polski jest oczywisty.

Tytuł „Szlachta i możnowładztwo w dawnej Polsce" sugeruje po socjalnej reformie rolnej i likwidacji dworów inną tendencję książki, niż ją ona w rzeczywistości zawiera.

Przyczyny? „Konspiracyjny — jak go nazywa autor — dostęp do bibliotek", brak rzetelnego warsztatu naukowego, przypadkowość materiału, który zatem nie mógł spętać sił emocji, tak rozrosłej w te lata nienawiści i obłędu. Miejsce konstrukcji naukowej zajmowała wówczas erupcja subiektywnych rojeń światopoglądowych i moralizatorstwa, ilustrowanych gawędziarską wiedzą o przeszłości.

Tradycja idealizmu pokrywającego fakty dziejowych krzywd socjalnych jest tak silna, że nawet w pracy o tak wyraźnym sformułowaniu w temacie różnic społecznych jak praca dr Tobiasza, potrafiła doprowadzić autora do rozwiązań apologetycznych.

Jakże obcy i dziwaczny wydaje się już ten język: winny, niewinny, dobry i zły, język ocen moralnych oderwanych od konkretu rzeczywistości, język etyki nieposiadającej kryteriów! Według autora „zło odwieczne rządzi światem" (s. 10). „U źródła zła powstało rycerstwo jako najnaturalniejsze i najskuteczniejsze lekarstwo na przekroczenie prawa i zbrodni" (s. 11). Ale nie łatwo — według autora „z powrotem uchwycić ideał dobra i piękna" (s. 18).

Na innym miejscu dowiadujemy się znowu, że „polska szlachta rozwiązała najidealniej problem wiary. Przyjąwszy chrześcijaństwo Polska pojęła je od strony najwłaściwszej" (s. 55). „Tym właśnie odbijała szlachta polska od szlachty innych krajów, że chrześcijaństwo przyjęło się gruntowniej, nie tworząc tylko pustej frazeologii" (s. 58). „Katolicyzm wybił swe piętno na Polsce, tworząc charaktery z natury waleczne, ale nie imperialistyczne. Ideały rycerskie w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu wyrobiła w sobie dusza polska zarówno wśród warstwy szlacheckiej, jak mieszczańskiej i chłopskiej". „W tym kształtowaniu się duszy polskiej warstwa szlachecka brała udział zasadniczy (s. 59). Autor śmiało stwierdza, że „Rzeczpospolita szlachecka postępowała zgodnie według przyjętej zasady wiary Chrystusowej" (s. 57).

Skoro motorem polityki polskiej (scil. szlacheckiej) była miłość bratersk a (s. 56/7) słusznie konkluduje autor, że byliśmy od innych nie gorsi, jeśli nie lepsi (s. 60), poczem szybko decyduje się, że gdzieindziej było gorzej „bo pogańskie instynkty i cechy narodów wojowniczych pod pokrywką chrześcijańskich pozorów ujawniały bestie ludzkie" (s. 61).

Interpretacje historyczne autora nie pozbawione są uroku naiwności (np. „feudalizm... miał za zadanie bronić słabych przed przemocą i gwałtem silniejszych", (s. 10), ale przestają być żałosne i muszą oburzać (w pierwszym rzędzie wierzących), gdy autor chce usprawiedliwić dążność władz kościelnych więcej do potęgi politycznej niż duchowej tym, że w przeciwnym razie groziłoby Kościołowi z n i s z c z e n i e „przez tlejące wewnątrz poglądy i ideały pogańskie" (?) s. 10.

„Tłum" w średniowieczu żył, według autora, w nędzy, ciemnocie, „n i e z d a j ą c s o b i e s p r a w y, że wszystkie wspaniałości, które roztaczano przed jego oczami odbywały się jego kosztem" (s. 22). Publiczne uroczystości etc. urządzano zaś dlatego „ponieważ pojmowano dobrze, że ludowi także się coś należało" (s. 22). Zaprawdę rozbrajające! — Mit o boskim pochodzeniu władzy „specjalnie lansowały kochanki królewskie" (s. 22).

A credo społeczne autora? „W selekcji społeczeństwa najbardziej racjonalną okazała się zasada stosowana przez Anglię opierająca się na trzech warunkach: 1). Stan szlachecki nie posiada żadnych przywilejów pociągających za sobą niekorzyść innych (!), nie jest wolny od podatków, nie ma pierwszeństwa do urzędów i nie przysługują mu żadne prawa sądownicze (?!), 2). Przyjmuje w swe grono wszystkich, którzy przez zasługi (!) zdołają wznieść się w wyższe sfery społeczeństwa. 3). Przywileje i zaszczyty wysokiej arystokracji polegają na wielkich posiadłościach urządzonych jako ordynacje czyli majoraty" (s. 25). A tymczasem na kontynencie likwiduje się dwory pańskie; Toteż wspomniawszy rewolucję francuską i rosyjską autor stwierdza, że „ludzkość nie znalazła jeszcze właściwego rozwiązania i d l a t e g o poznanie historii od strony dziejów tworzenia się szlachty, arystokracji i herbów... jest nauką wielce pouczającą" (s. 30) Książka o głęboko chrześcijańskiej szlachcie polskiej, hołdującej ideałowi miłości braterskiej i „rycerskiej w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu", jest rzeczywiście bardzo pouczająca i wskazuje drogę do właściwego rozwiązania sprawy „selekcji społecznej", z którą sobie nie mogły dać rady obie wielkie rewolucje...

A te herby. Cała praca usiana jest ustępami i wzmiankami o herbach. W zestawieniach literatury przeważają dzieła z heraldyki. Za to pozbawiona jest książka zupełnie balastu problematyki ekonomicznej, a słowo „interes" — warstw czy jednostek jest w każdym miejscu tak odbarwione z wszelkiej konkretnej treści, że nabiera cech niemal metafizycznych. Jest najwyżej czymś „złem".

Książka dr Tobiasza jest bogatą skarbnicą anegdoty o egzotycznym dla nas obyczaju społecznym i politycznym, anegdoty, która czaruje słuchacza jaskrawością „skandalu", a posługuje się niezawodnym efektem kumulacji przykładów, wszystko jedno skąd wziętych, wszystko jedno czy równie prawdziwych, wszystko jedno czy harmonizujących ze sobą. Książka o dobrej i chrześcijańskiej szlachcie polskiej jest kalendarzem okropności, okrucieństw i ciemnoty tej warstwy społecznej!

Szczegółowe fakty zaopatruje autor w daty historyczne i geograficzne, ale zarówno w całości obrazu jak i w większości nogółnień nie ma ani perspektywy przemian dziejowych, ani powiązań określonych zjawisk z określonym kręgiem przestrzennym i czasowym.

Książka ma zapewnione powodzenie.

Stanisław Śreniowski.

PIERRE FRANCASTEL

NOWE MALARSTWO FRANCUSKIE

W Warszawie, z inicjatywy znanego działacza na polu kulturalnego zbliżenia między Polską a Francją, dr Pierre Francastela i Dyrekcji Muzeum Narodowego, odbyły się dwie wystawy artystów francuskich. Pierwszą z nich była Wystawa współczesnego rysunku francuskiego, drugą „Wystawa płócien czołowych artystów plastyków młodej francuskiej generacji" — Fougeron, Gischia, Pignon, Tal-Coat. Wystawy te, a zwłaszcza pokaz prac powyżej wyliczonych artystów wywołały olbrzymie zainteresowanie ze względu na jakość reprezentowanej sztuki. Uderzającą cechą stała się zupełnie niezwykła dla nas dbałość o fakturę płótna i żarliwe usiłowania w kierunku sprecyzowania nowego spojrzenia na rzeczywistość.

Na prośbę „Kuźnicy" dr Pierre Francastel napisał artykuł, w dużej mierze wyjaśniający historię i podstawy tego, co obecnie przeżywa współczesna Francja plastyczna. Sądzimy, że artykuł dr Francastela spełni o wiele doniosłejszą rolę w dziele zrozumienia tych celów, do jakich dążą plastycy w jego ojczyźnie, aniżeli jakikolwiek artykuł krytyczny, napisany w obecnej chwili przez nas, a obarczony prawie siedmioletnią przerwą w współżyciu kulturalnym obu narodów.

Sądzić swoją epokę to zamiar zawsze ryzykowny. Nie przesadzę jednak zbytnio twierdząc, że malarstwo francuskie przeszło w czasie wojny ewolucję równie głęboką, jak na początku naszego wieku w okresie kubizmu i fauvizmu, kiedy to nastąpiła zasadnicza zmiana kierunków w malarstwie.

Zagranica nie zdaje sobie dobrze sprawy z warunków życia materialnego i intelektualnego we Francji okupowanej. Jedni wyobrażają sobie, że okupacja była wyjątkowo łagodna; inni znów sądzą, że pozostawiła ona Francję w stanie całkowitej niezdolności do myślenia i wypowiadania się. W rzeczywistości kraj nasz musiał walczyć przeciw perfidnej formie ucisku, gdyż pozorny liberalizm służył okupantowi za osłonę dla nieubłaganej kontroli dotyczącej życia intelektualnego narodu aż do najdrobniejszych szczegółów.

Byłoby nie na miejscu ustalać tu pochwalną listę zawierającą opis różnych form myśli i sztuki konspiracyjnej. Literatura Ruchu Oporu odegrała ogromną rolę w przygotowaniu powstania narodowego, które od czerwca do września 1944 roku zapewniło pomyślne wylądowanie aliantów i rozbicie całej niemal armii niemieckiej na froncie atlantyckim. Literatura ta przysłużyła się nie tylko akcji bojowej, ale oznaczyła również punkt wyjściowy dla rozwoju myśli francuskiej. Artyści biorący czynny udział w Ruchu Oporu przeżywali wówczas okres korzystny dla swej twórczości, a bardziej lub mniej tajne wystawy z okresu wojny oznaczają zwrot w historii sztuki współczesnej.

W przeddzień wojny nie brak było w malarstwie francuskim wielkich nazwisk. Mieliśmy Braque'a i Matisse'a, Picassa i Rouault. Mieliśmy wielu innych artystów o międzynarodowej sławie, a Paryż nie przestał przecież być punktem zbornym dla całego świata. Ale rozwój wielkich mistrzów był wynikiem doskonałych zapowiedzi ich młodości sprzed trzydziestu lat, z heroicznej epoki Szkoły Paryskiej. Niektóre kierunki, jak na przykład surrealizm wycisnęły swoje znamię na latach, które nastąpiły po tamtej wojnie, lecz nie potrafiły zaspokoić wyobraźni artystów, którzy mieli dość talentu, by zapoczątkować wielki ruch konkretnego odnowienia formy. A pseudo neoklasycy, których pojawienie się rozgłaszano w kołach konserwatywnych, okazali się zwykłymi fabrykantami szablonów.

Przypadek zdziałał, że nowe pokolenie artystów dojrzało właśnie w okresie okupacji. Ale to nie okupacja stworzyła artystów i sztukę dzisiejszą. Współczesne malarstwo francuskie jest malarstwem Ruchu Oporu nie dlatego, że podjęło szlachetny, lecz efemeryczny wysiłek, aby odtwarzać bohaterskie dzieje lat ubiegłych. Przyczyna polega na tym, że wielu jego inicjatorów odgrywało czynną rolę w Ruchu Oporu, a nade wszystko dlatego, że najskuteczniejszym sposobem walki dla artysty było: tworzyć, i to tworzyć w sensie biegunowo przeciwnym do niemieckich poglądów filozoficznych i estetycznych.

Ponieważ przedstawiciele nowego malarstwa zmuszeni byli ukrywać się, Nowa Szkoła Paryska nie mogła debiutować w atmosferze równie malowniczej, co poprzednie kierunki rozwijającej się sztuki. Nie było tu kawiarń i cyganerii, jak w okresie kubizmu, ani tym bardziej publikacji, w których pod piórem krytyków, przyjaciół artystów, tworzyłoby się teorie równocześnie z malarską praktyką. Obrazy nowej Szkoły Paryskiej są dziełem jednej lub dwu grup artystycznych związanych przyjaźnią z okresu przedwojennego (kiedy to powstawały pierwsze ich szkice wówczas przez publiczność niedostrzeżone) zgrupowanych wokół dwu lub trzech galerii.

Fougeron

Sortowniczka

Niemcy do tego stopnia obrabowali słynne galerie przedwojenne, że cudzoziemcy, którzy przybędą znów do Paryża zastaną poważne zmiany w topografii paryskich galerii sztuki. Pierwsza grupa młodych malarzy skupiła się wokół galerii Friedland, rozproszonej już na początku wojny. Ogólny podziw zdobyli jej uczestnicy w Salonie Jesiennym, gdzie wystąpili po raz pierwszy. Rozdzielili się następnie wystawiając swe obrazy jedni w Galerie Carré, drudzy w Galerie de France. Od czasu wyzwolenia wystąpili jako grupa w Galerie Drouin i Galerie Vendome. Obecnie dzielą się oni między Galerie Billiet i Galerie Carré, Montmartre i Montparnasse zamienili na Place Vendome i Saint-Augustin. Malarze którzy ukrywali się jak mogli podczas zawieruchy, rozpierzchli się teraz w okolicach stolicy.

Obecna wystawa malarska w Muzeum Narodowym w Warszawie ukazuje twórczość czterech spośród tych malarzy, są to: Fougeron, Gischia, Pignon i Tal Coat. Na wystawie rysunków reprezentowana jest liczniejsza grupa artystów.

Możnaby między nimi wyróżnić przedstawicieli trzech głównych kierunków. Pierwszy reprezentują tacy malarze jak Manneissier czy Singier, wrażliwi przede wszystkim na wartości kolorystyczne. Na początku swej działalności Manneissier bliski był Bazaine'owi. Punktem wyjścia dla obu była projekcja na przestrzeni o dwu wymiarach wrażeń odbieranych przez otwarte okno. Estève początkowo zbliżał się do grupy, która nazwałbym „romanistami" (romanistes), potem skłaniał się ku kolorystom, obecnie jest wraz z Bazaine'em i Manneissier'em najbardziej utalentowanym przedstawicielem tego kierunku.

Najwybitniejszym w drugiej grupie jest Lapique. Na wystawie można było oglądać dwa jego szkice i jedno dzieło bardziej opracowane. Szkice ukazywały że punktem wyjścia dla artysty jest wizja sylwet, a raczej wizja sylwet nakrywających się na siebie. Otrzymana w ten sposób notację jakby kinematograficzną łączy następnie Lapique z regułami barwnej kompozycji dwuwymiarowej, kierując się ściśle wskazówkami Léger'a i kubistów. Trzeba zresztą zauważyć, że tacy jak Pignon i Gischia zawdzięczają również wiele Léger'owi i Seurat'owi, od którego Lapique zapożyczył prawdopodobnie pomysł sylwet. Jeśli wyróżniam tu kierunki i dążenia, to nie po to by rozbijać na grupy artystów pracujących w chwili dzisiejszej nad wspólnym dziełem, które przyniesie nam w przyszłości niejedną niespodziankę. Rozumie się, że wszyscy oni wywodzą się nie tylko z Léger'a i Seurat'a ale i z Picassa i Matisse'a i kontynuują w prostej linii doświadczenia kubizmu. Znaczenie ich polega na tym, że wszyscy oni niezależnie od jakości talentu wnoszą pewne nowe sugestie dotyczące metody i to nie przeciwstawiając się żywym jeszcze poszukiwaniom poprzedniego pokolenia.

Trzeci kierunek jest pod tym względem najbardziej typowy. Przedstawicieli tego kierunku nazwałem „romanistami" (romanistes), przywódcami są Fougeron, Gischia i Pignon — ten ostatni bliższy Picassa.

Każda sztuka w każdej epoce rozwijała się równocześnie pod naciskiem osobowości i warunków zewnętrznych. Nie mówię tu wyłącznie o ogólnych warunkach stwarzanych przez środowisko społeczne, które wywiera wpływ na charakter sztuki w ciągu dłuższych okresów. Myślę o wpływie szybko zmieniającej się mody na malarstwo danej chwili. Faktem jest naprzykład, że na początku wieku balety rosyjskie a szczególnie odkrycie sztuki murzyńskiej stały się w równej mierze co rozważania estetyczne i matematyczne Montparnasse'u elementem kształtowania się kubizmu. Podobnie w przeszłości odkrycie Pompei w 18 wieku stało się źródłem dla stylu empire, a starożytne rysunki groteskowe były natchnieniem sztuki dekoracyjnej 16 wieku. W latach, które bezpośrednio poprzedzały wojnę, dokonano podobnego odkrycia, nie zdając sobie jeszcze sprawy ze wszystkich jego konsekwencji. Idzie tu o romańskie malarstwo francuskie. Wiedziano oczywiście o istnieniu Saint - Savin, lecz w ciągu piętnastu lat odkryto na zachodzie Francji wiele zabytków z XI i XII wieku. Rozpowszechnienie wyników tych odkryć mogłoby przynieść rozwiązanie problemu Renesansu rozpatrywanego w pracowniach niemal od lat stu.

Pierwsza publikacja dotycząca całości tych skarbów powstała dzięki Henri Focillon, ale wojna przeszkodziła w udostępnieniu tych dokumentów Europie. W czasie wojny powstało Muzeum Fresków — otwarte latem 1945 roku w Palais de Chaillot w Paryżu — dzięki wybitnym kopistom, których wysiłek przekaże przyszłości odnalezione fragmenty monumentalnego malarstwa pierwotnego zachodu. W czasie wojny wydano również wspaniałe reprodukcje barwne — niestety w niewielkiej ilości — fresków z Saint Savin i Tavant. Nie twierdzę oczywiście, że nowa Szkoła Paryska kopiuje freski romańskie! Przeciwnie, różna jest od nich zarówno pod względem techniki jak i programu. Lecz odkrycie to posłużyło za okazję do nowych rozważań nad barwną projekcją przestrzeni na powierzchni dwuwymiarowej przy użyciu małej ilości czystych tonów.

Tu mieści się problem stawiany od pół wieku w malarstwie współczesnym. Najbardziej konkretny wkład nowej Szkoły Paryskiej to odkrycie nowych sposobów sugerowania barwnej przestrzeni świata za pośrednictwem koloru, bez użycia dawnej perspektywy liniowej i praw Alberti'ego.

Jeśli dodać do tego, że malarze tacy jak Gischia, Fougeron, czy Pignon zachowują wszystkie uroki czystego koloru Braque'a czy Matisse'a, utrzymują siłę linii lirycznej Cezanne'a i konstruktywną deformację Picassa, to łatwo zrozumieć nowość i wybitne znaczenie młodych malarzy Szkoły Paryskiej.

Rozumie się, że wystawa niedawno oglądana w Warszawie i Krakowie jest zupełnie niewystarczająca, aby dać wyobrażenie o ruchu, który ukazany nagle po sześciu latach milczenia ma już przecież swą historię i rozwój. Byłoby pożądane, aby po wystawie czterech malarzy Muzeum Narodowe mogło pokazać nam jeszcze innych artystów, zarówno spośród wymienionych przez mnie, jak również takich jak Marchand i Gruber, którzy zyskali już sobie publiczność i cieszą się zasłużonym powodzeniem.

Wtedy każdy według swych upodobań wybierze sobie tę lub inną formę wyrazu. Sądzę, że publiczność polska mogła już obecnie zorientować się w jakości tych kilku spośród najlepszych malarzy. W Paryżu nie maluje się już tak, jak malowało się przed wojną, a przemiana, która dokonała się w czasie tych długich lat polega tak całkowicie na wypracowaniu nowego kierunku, że musi zaważyć na ogólnym rozwoju sztuki współczesnej.

Przełożyła z francuskiego
Julia Hartwig

HENRYK UŁASZYN

KŁOPOT Z ORZESZKAMI

Zawinił wszystkiemu Ilia Erenburg.

Na p. Dudzińskiego („Odrodzenie" Nr 21) zwaliło się aż dwie osoby: p. **ph.** z „Kuźnicy" (Nr 22) i pani Ziębicka z „Odrodzenia" (Nr 24) która po za rzeczowymi wyjaśnieniami, o które sporu nie ma — zapewnia p. Dudzińskiego, że lody pistacjowe, które jada, są nie na pistacjach lecz na olejku, zapomniawszy dodać, że tak jest **dziś**; przecież na własne oczy (w mojej rodzinie) przez kilkadziesiąt lat widziałem, jak robiono lody z pistacjowych orzeszków. Że dziś robi się omal wszystko na olejkach — to nie zmienia sprawy.

Zresztą spór toczy się nie o „realja". Spór o nazwę. P. Dudziński zupełnie dobrze odróżnia pistacje od orzeszków Erenburga; on nie godzi się tylko na nazywanie tych ostatnich **fistaszkami. Fistaszki** dla niego to „pistacje" i tyle. Dla innych (p. **ph** i pani Ziębicka) nie tylko, bo przyznają, że nazywają się też i orzeszki Erenburga **fistaszkami** ale radziby zarezerwować tę nazwę również tylko dla „pistacyj".

W ogóle ze znajomością zjawsk językowych u wszystkich jest — słabo; p. **ph.** nazywa nawet wyraz **fistaszki** „zwrotem", czyli nie odróżnia terminów: **wyraz** a **zwrot.** Ciekawym też jest, że godzi się na „popularną" nazwę francuską (cacahuètes), ale nie wystarcza mu „popularna" nazwa polska — **fistaszki**, nie podając nazwy „literackiej" ...

Czytelnicy więc nadal nie wiedzą, jak się właściwie po polsku nazywają owe orzeszki Erenburga. A tymczasem Europa „chrupie" je od stu może lat, a obecnie Unrra przysyła nam je w postaci kandyzowanej w blaszankach konserwowych; nazywają się one po angielsku **peanuts**, tj. groszkowe orzechy.

Co do zasadniczej więc sprawy właściwie niczegośmy się z tej polemiki nie dowiedzieli.

A wszystkiemu — jak powiedziałem — zawinił Erenburg, używszy w swym opowiadaniu wyrazu **orzeszki**, który przecież właściwie nic nie mówi. Jeśli powiem, że zastałem mego znajomego, kiedy jadł **orzechy**, to przez to nie powiedziałem jeszcze, jakie to były orzechy. Mogły być włoskie, tureckie laskowe itp. Odpowiednio do nastroju można też powiedzieć, że jadł orzeszki, mimo że jadł duże, np. włoskie lub tureckie orzechy, bo wyraz orzeszki znaczy nietylko „małe orzechy" ale i duże tylko „pieszczotliwie" nazwane **orzeszkami.**

Dość przypomnieć Reja, lub warszawski sposób mówienia: **herbatka, kartofelki** („kwaśne mleko z k a r t o f e l k a m i"! sic!) itp. W Poznaniu jest odwrotnie: deminutywów tam nie lubią: mówią **skarpety nie skarpetki, firany** nie **firanki** itp.

Pewen mój znajomy, „purysta" językowy, przechodząc ulicą w Poznaniu wyczytał w jednym z okien wystawowym napis: **„Dywany i firany".** Nie wytrzymał, wszedł i wytłumaczył: „po polsku mówi się **firanki** a nie **firany"...** Poznaniacy w ogóle bardzo biorą do serca wszelkie uwagi w sprawach językowych, bo wciąż się boją germanizmów. Następnego dnia ów mój znajomy znów przechodził mimo owego sklepu i ku najwyższemu swemu zdziwieniu znalazł inny napis już nie „Dywany i firany", nawet nie „Dywany i **firanki**" jak był „poprawił", ale „**Dywanki** i firanki"!...

Ale wracając do **orzeszków** Erenburga stwierdzić należy, że wcale nie są one mniejsze od zwykłych laskowych właśnie **orzechów**, a nie **orzeszków.** A jeśli brać od zewnątrz, więc z łupiną, to są stanowczo większe od laskowych, zawierają bowiem normalnie po 2 — 4 orzeszki — każdy wielkości laskowego. Ponieważ zaś **fistaszki** prawdziwe, t. j. orzeszki pistacjowe, to też „orzeszki", więc bardzo często, właściwie zwykle, nazywano u nas te właśnie Erenburga — **fistaszkami.**

Ja znam **fistaszki** w znaczeniu małych orzeszków i owych Erenburga od czasów szkolnych (Humań, Odessa Kijów, od osiemdziesiątych lat XIX wieku). Na ustach Polaków spotykałem się z nimi przed wojną światową pierwszą w Lipsku, a następnie w odrodzonej Polsce Tak też przetłumaczył **orieszki** Erenburga jego tłumacz. Znają te **fistaszki** i p. **ph** z **„Kuźnicy"** i p. Ziębicka z „Odrodzenia". Inna znaną mi nazwa tych orzeszków to **orzeszki kameruńskie**, oczywiście niemieckie **Kameruner Nüsse**, obok **Erdnüsse**, t. j. orzeszki ziemne. Nie rozumiem więc dlaczego nie uznają owi autorowie nazwy tych orzeszków **fistaszki**, przecież my pistacje nazywamy zwykle **pistacjami.** Nie słyszałem, by kto żądał lodów **fistaszkowych**; żądają **pistacjowych.**

Że w dzisiejszej polszczyźnie **fistaszki** to to samo, co **orzeszki kameruńskie**, i co inaczej, ale bardzo rzadko nazywa się **orzechem ziemnym** lub **groszkiem główkowym**, i również **gałucha** — to jest faktem. **Arachidy** to termin botaniczno-handlowy.

Stało się tak na skutek najzwyczajniejszego procesu językowego — rozszerzenia pierwotnie znaczenia wyrazu; to znaczy: pierwotnie **fistaszki** to „orzeszki pistacjowe", potym zaś „orzeszki wogóle", a więc i owe Erenburga. Podobnie jak **atrament:** pierwotnie (z łaciny) „płyn czarny do pisania", potym, „wogóle płyn do pisania", a więc np. i czerwony itp. Po rosyjsku mówi się **krasnoje czerniło** czyli „czerwone czernidło"...

Podobny proces z **fistaszkami** zaszedł i w innych językach. Od kiedy znam język rosyjski, a znam ze szkół, nazywały się owe orzeszki też **fistaszkami**, co i obecnie w Łodzi, stwierdziłem. (W języku rosyjskim zowią się też: **ziemlianoj oriech** albo **goroch**; też **arachis** po książkowemu — lub **rachit**, co jest „przeróbką" **arachid**).

I nawet w językach francuskim i niemieckim spotykamy się z podobną nazwą, a więc mamy we francuskim **pistache de terre** (por. słownik S. Rameau z r. 1865!) lub w niemieckim **Erdpistazien** czyli w obu wypadkach **pistacje** wzgl. **fistaszki** ziemne!

Co się zaś tyczy pochodzenia wyrazu **fistaszki** w znaczeniu pierwotnym pistacyj, to jest to zapożyczenie z języka rosyjskiego. Rosyjskie zaś **fistaszki** (obok innej nazwy **sirijskie orieszki**) to pożyczka z francuskiego **pistache** (to z greko-łacińskiego: pistaké pistacia). Najdalszym źródłem jest arabskie wzgl. perskie **pistah.**

Że słownik Warszawski wyrazu **fistaszki** nie notuje, zrozumiałe — w szersze bowiem użycie u nas wyraz ten wszedł już w wieku XX. Ale nie notuje wyrazu tego też i słownik prof. Lehra-Spławińskiego, który wychodził zeszytami przed ostatnią wojną światową. Zastanawia też, że w słowniku francusko-polskim lektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, B. Hamela wydanym z przedmową tegoż prof. Lehra Spławińskiego, pod wyrazem **cacahuètes** podano znaczenie „pistacje"!

Henryk Ułaszyn

RYSZARD MATUSZEWSKI

O autentyzmie, autentystach i co z tego wynika

Recenzując zbiorek poezji J. B. Ożoga pt. „Kraj" dałem wyraz zaniepokojeniu, jakie wzbudziło we mnie powołanie się przez autora książki na przedwojenną koncepcję „autentyzmu". Autentyzm, który nazwał on „polskim prądem literackim", nie wydawał mi się zbyt odpowiednim sztandarem dla odradzającej się po długoletniej przerwie ideologii poetów, a ponieważ w czasie tej przerwy zdewaluowały się, jak dziś widać już zupełnie wyraźnie, wszystkie inne, międzywojenne kierunki, hasła i programy poetyckie, niejednokrotnie oparte na o wiele rozsądniejszych podstawach, przeto niepokojąca żywotność pomysłu redaktora ostrzeszowskiej „Okolicy poetów" wydała mi się raczej dziwnym kaprysem losu.

O tym, że nie była ona złudzeniem, przekonała mnie nie tylko dedykacja w cytowanym zbiorku, ale także systematyczne powoływanie się na „autentyzm" na łamach tygodnika „Wieś", gdzie nawet ukazał się artykuł Stefana Lichańskiego pt. „Perspektywy autentyzmu", piszącego w następujący sposób o tym zjawisku:

„Autentyzm jest nie tylko programem czysto literackim, chodzi mu nie tylko o przezwyciężenie w poezji stylizatorstwa i patetycznego deklamatorstwa pomodernistycznego. Autentyzm jest również ideologią określającą moralną postawę pisarza. Nie żyć duchowo ponad stan! — oto postulat autentyzmu. To co wielki francuski pisarz katolicki Mauriac mówił o „oczyszczaniu źródła", znajduje u nas odpowiednik w programie autentyzmu. Pisarzowi nie wolno poruszać zagadnień, które nie są jego zagadnieniami, nie wolno mu zaklamywać się wewnętrznie. Sztuka wymaga czystości ducha, uczciwości intelektualnej i moralnej".

Dalej Stefan Lichański wysnuwał z tego stwierdzenia następujące wnioski:

„W czernikowym programie autentyzmu tkwi inspiracja polskiego realizmu humanistycznego. Trzeba ją tylko rozwinąć i rozbudować. Polski futuryzm małpował Marinetti'ego i Majakowskiego zamiast sięgnąć do Wyspiańskiego, polski ekspresjonizm plagiował zarówno w programach jak i w twórczości Niemców zamiast szukać inspiracji w żywiołowym wizjonerstwie Micińskiego. Dziś prześlepiamy możliwości rozwojowe tkwiące w czernikowym autentyźmie. Jeszcze raz aktualizują się słowa poety o pawiu i papudze narodów".

Jak widzimy perspektywy były duże i rozległe. Czy jednak pociągające? Spróbujmy sprawdzić, jak rzecz się miała naprawdę z owym lansowanym na parę lat przed wojną przez Stanisława Czernika autentyzmem? Lichański powołuje się na Irzykowskiego. Sięgnijmy i my do 37 Nr. „Pionu" z dnia 16.9 1937 r. gdzie w artykule pt. „Ostrożnie z autentyzmem" — autor „Walki o treść" referuje dokładnie przebieg polemik Czernika z przeciwstawiającymi się jego wywodom poetami i krytykami. Ścisłość jego relacji można sprawdzić w samej „Okolicy poetów".

Autentyzm był wg. pierwszych sformułowań Czernika protestem przeciwko temu, by w liryce przeważały treści nie objęte sferą doświadczenia życiowego, rodzące się jedynie jako przejaw swobodnej gry wyobraźni. To o czym pisze Lichański jako o postawie czystości moralnej było wystąpieniem tylko przeciwko niektórym, ściśle określonym źródłom inspiracji okresu pomodernistycznego i jak większość prądów sobie współczesnych w równej mierze mogło być uważane za jedną z form odnowy, jak za program całkowicie tkwiący w ramach i problematyce tego okresu.

Zwalczając utwory „z mgły i galarety, gdzie autor mówi o rzeczach, których nie widział, nie przeżył, lecz które uważa za poetyczne", Czernik wzburzył przeciwko sobie wielu liryków, którzy wystąpili z obroną praw poetyckiej fantazji. W związku z tym, w dalszym etapie dyskusji określił on swój autentyzm nieco inaczej, jako „**związek między szczerością (prawdą) artystyczną poety a jego szczerością (prawdą) życiową**", przeciwstawiając swój ideał poetycki, „poezji wymuszonej, wyciśniętej przez autora często dla celów handlowych, dla zaspokojenia ambicji, lub na zamówienie społeczne".

W sformułowaniach twórcy autentyzmu przebijała chęć uzasadnienia racji bytu tego, co on sam — z powodów o których niżej — uważał za poezję szczerą, wewnętrznie przeżytą, pozbawioną werbalizmu a także „spekulacji intelektualnej". Takie cechy przedstawiała jego zdaniem twórczość związana z ziemią, na której się wyrosło, mówiąca o niej i wyrażająca uczucie z tego związku zrodzone. „Autentyczna" była przede wszystkim twórczość poetów pochodzenia chłopskiego, o ile oczywiście nie „silili się" na taki obraz rzeczywistości, któryby „zaspakajał ambicje", lub odpowiadał „zamówieniu społecznemu", bo to przeczyłoby czystości zamiaru poetyckiego.

Koncepcje Czernika cechował antyurbanizm i antymaszynizm, będący reakcją na futuryzm i program awangardy krakowskiej. Antyurbanizm manifestował się także w ataku na wszelkiego rodzaju kapliczki i koterie literackie ze „Skamandrem" na czele, mające swoją siedzibę w stolicy, względnie w innych dużych miastach. Fakt, że „Okolica poetów" wychodziła w maleńkim Ostrzeszowie Wlkp. miał w tym wypadku swoją specjalną wymowę i kojarzył się z apologią prowincji poetyckiej w twórczości i działalności pisarza, o dużym w tym czasie znaczeniu, jakim był Józef Czechowicz.

„Autentyzm" w jeszcze większym stopniu niż założenia grupy skupionej wokół Czechowicza znamionowała niechęć do poddania się określonym rygorom racjonalistycznym, przesłanki emocjonalne, intuicjonizm, antyprogramowość we właściwym znaczeniu tego słowa. „Autentyzm" choć sam był rodzajem programu, nie był programem wyrażonym w zasadach konkretnych, dotyczących uchwytnych cech poezji, podlegających sprawdzeniu lub klasyfikacji, lecz opierał się — jak choćby z przytoczonych haseł wynika — na **niesprawdzalnych założeniach psychologistycznych.**

Jest rzeczą oczywistą, że ustalenie stosunku prawdy artystycznej do prawdy życiowej poety, ustalenie szczerości jego intencji i stopnia przeżycia przezeń utworu poetyckiego jest rzeczą prawie niemożliwą i jako wytyczna prowadzi na manowce. Jest także jako motyw odróżniający zasadą niedostateczną. Dlatego też istotny zespół cech, wokół których skupiła się grupka przekonanych przez Czernika „autentystów" stanowiła raczej owa specyficzna apologia swojszczyzny, ruralizm, antykapliczkowość zwrócona przeciwko centrom życia kulturalnego, jednym słowem raczej założenia typu ideologicznego niż reguły z dziedziny psychologii twórczości. Poetami „autentyzmu" i „Okolicy" okazali się w konsekwencji nieliczni piewcy wiejskiego krajobrazu i sielanki: z nazwisk prócz J. B. Ożoga i J. A. Frasika, występujących obecnie, przypominam sobie Czesława Janczarskiego i Wacława Iwaniuka.

Dla poetów klimatem swej twórczości również z tym typem poezji lirycznej związanych, lecz o profilu poetyckim bardziej wyrobionym i niechętnie widzących ograniczenie swych możliwości w kanonach Czernika, „autentyzm" był mało atrakcyjny: ani Piętak, ani Stachowski, nie mówiąc już o Czechowiczu etykietki „autentyzmu" przyjąć nie zechcieli. Dzieli ich odeń w pierwszym rzędzie stosunek Czernika do poetyckiej fantastyki.

Założenia psychologistyczne „autentyzmu" sprzyjały natomiast wyraźnie kształtowaniu się takich postaw ideologicznych, które ulatwiały pseudointelektualne uzasadnianie stanów emocjonalnych. Nazwać wszystko co z zewnątrz i co nie da się „odczuć" i „przeżyć" — stylizacją i patetycznym deklamatorstwem, odgrodzić się od „wrogich" wpływów miasta, i od zagranicznych „nowinek", popierać rodzimą lutnię w Ostrzeszowach, Wólkach i Niebylcach — oto program, który — nie ma co bliżej tego rozwijać, gdyż są to rzeczy znane — był wodą na młyn groźnych w następstwa, wstecznych prądów społecznych i kulturalnych.

Że „autentyzm" takie tendencje zdradzał już przed wojną, o tym świadczyła nie tylko odżywająca dziś w sformułowaniach Lichańskiego niechęć Czernika do poezji będącej społecznym zamówieniem", nie tylko operowanie argumentami o wartości „elementów rodzimych", przypominające do złudzenia argumenty staroszlacheckiego sarmatyzmu z epoki saskiej, ale także bezpośrednie akcenty solidarności z falą wstecznych sił społecznych w twórczości takich, bliskich autentyzmowi poetów, jak drukujący w „Okolicy" i „Prosto z mostu" Jerzy Pietrkiewicz.

Minęła wojna. „Autentyzm" wskrzeszony został niejako z martwych. Występujący pod jego auspicjami poeci drukują swe wiersze w piśmie, którego redaktor i czołowy publicysta J. A. Król w szeregu świetnych, mocnych i konsekwentnych artykułów zwalcza atmosferą fałszywej swojszczyzny, psychologizowania i „przeżywania" poezji na Uniwersytetach Ludowych; w piśmie, które podkreśla ważność wyrównania przepaści dzielącej wieś i miasto oraz rolę postępu w podniesieniu wsi ze stanu cywilizacyjnego zacofania. Wiersze poetów mieniących się autentystami, niekiedy piękne i świadczące o dużej poetyckiej wrażliwości oraz przywiązaniu do miejsca pochodzenia, cechuje jednak nie tylko charakterystyczna dla „autentyzmu" postawa zachwytowo-uniesieniowa ze skłonnością do egzaltacji, i nie tylko ton sielankowo-elegijny, mający pełne wytłumaczenie w rodowodzie społecznym tej poezji zagarniętych przez miasto synów chłopskich, którzy przez pryzmat swego dzieciństwa widzą daleki od rzeczywistości, wyidealizowany obraz tego co ich otacza. Wiersze te — i to jest o wiele ważniejsze — nabrzmiewają od wewnętrznych procesów będących w równej mierze procesami ideologicznymi, co procesami rozwojowymi stylu:

„Ta chropowata pogoda i ten wiatr,
który zwiastuje czerwone rankiem niebo—
ten dymem chałup kołysany czas,
to rozrosłe szeroko marcowego ranka drzewo.

Ten chłód w przejrzystych szybkach na wodzie,
te gęsi pędzone na rzekę do gąsiora,
ta pościel schnąca na płocie do wieczora,
ten świat wracający w wczorajszej wodzie.

Te świerki zielone w ogrodzie księży,
te wrony ciągnące pod wieczór,
ten sypiący się drobno dzwonek z wieży,
ten zapach domu i śpiew maleńkich rzeczy...".
(„Prolog")

W wierszu tym, wysuniętym na czoło świeżo wydanego tomu J. A. Frasika pt. „Urodzony w źdźble"*) zdaje się tkwić in potentia cały minimalny program autentyzmu: zachwyt, podkreślony dyskretnie stłumionym wykrzyknikiem, brakiem orzeczenia, jakgdyby nagłym zatamowaniem tchu: „świat wracający w wczorajszej urodzie" i „śpiew maleńkich rzeczy", a więc minimalizm, owa czystość maluczkich i brak „życia duchowego ponad stan", o którym pisze Lichański...

Wiersz ten jest jednak jednym z najlepszych tego typu, ponieważ przy całym ograniczeniu pola widzenia, jest stosunkowo konkretny i precyzyjny, podobnie jak najlepsze wiersze Ożoga. Gorzej jest, kiedy przeżycia „na tle przyrody" przybierają taką postać jak w wierszu „Do przyjaciela":

„Żyta kwitnącego nie pytać.
Kłosów w czerwiec schylonych nie pytać.
W mroźny, igliwiem mrozu iskrzący dzień,
ze stodół trzaskających o zapalnicę, pod sień,
sypały garsteczki żyta.

Grabowe bijaki na gązwach —
a tu ręce grabowe nucą buczyną!
Tak przyjacielu —
to wtedy, w burzy, w jej liściach grało,
w ogromy czasu tylką kwaśne dymy obłoków ścieląc —
polami,
polem,
doliną.

Tak kiedyś, rosnąc — ja młody, a ty
pochylony już w napływające ogromy czasu,
dłonie mając skrzywione, szufelką żyto-ś wiał,
Pole złotorodne! Złotopszeniczne! Przed laty...

Przyjacielu —
Omotała nas zewsząd, otoczyła dolinami,
liryczna nuta: dal.

Ty, zwyciężony dniami
na harmonii-ś potem wygrywał.
Błażeju, młocku. Sami.
Jakby mnie muzyczny strumień olch przyzwał.

Za czasem. Za latami. Ty już.

Bądź zdrów!
Ja jeszcze tu jak wiąz graniczny muszę trwać".

Co się stało z Błażejem młockiem? Dlaczego poeta musi trwać jak wiąz graniczny? O co nie należy pytać kwitnącego żyta? Cała treść wiersza sprowadza się do jakiegoś pogwarkowego „tak — przyjacielu". Siedzą na przyźbie i gwarzą: „tak to tak Gerwazeńku". A przecież coś tam niby ma się dziać w tym utworze!

Nieuniknioną konsekwencją irracjonalistycznych założeń i deformacji rzeczywistości w duchu odhumanizowanej wiejskiej idylli jest styl nie dający wśród dekoracji sielankowego krajobrazu miejsca na wyrażoną w sposób zrozumiały ludzką problematykę.

*) Józef Andrzej Frasik, „Urodzony w źdźble". Wyd. Oddz. Wiejsk. Zw. Zaw. Lit. Polsk. 1946.

Czy jednak poeci „autentyzmu" rezygnują z niej całkowicie? Konsekwentny stosunek do psychologistycznych założeń Czernika i moralnych kanonów Lichańskiego wskazywałby może tę właśnie drogę jako najwłaściwszą. Znaczna część wierszy „autentystów" ograniczona do krajobrazu, zdaje się to potwierdzać. Już jednak ostatni wiersz wskazuje, że „śpiew maleńkich rzeczy" u każdego ambitniejszego poety musi ustąpić w pewnym miejscu opiewaniu „rzeczy większych" choćby takich jak w wierszu cytowanym — przyjaźń, los ludzki...

Pragnąc je wyrazić poeta ma przed sobą dwie drogi: fantastykę, w której gubi się realny sens ludzkich zagadnień, lub — zupełne przełamanie sielankowej konwencji. Ożóg w recenzowanym przeze mnie niedawno tomiku „Kraj" wybrał drogę pierwszą. J. A. Frasik zdaje się zbliżać raczej do drugiego rozwiązania.

Frasik zdaje sobie sprawę, lub też może nieświadomie potwierdza wierszami swymi fakt, że przerastająca resztę liczebnością seria jego liryków krajobrazowych nie wyraża istotnie „autentycznej" pełni świata, który pragnie on pokazać. Poza nimi, poza mglisto muzycznym otokiem wystylizowanego na manierę czechowiczowską wiejskiego krajobrazu, i obok nielicznych prób wyrażenia rzeczywistości w kanonach owego nieprzyjmującego humanistycznych treści stylu (wiersze takie jak cytowany i jemu podobne) znajdujemy u Frasika inne utwory. Poeta odrzuca w nich konwencję. W sześciu czy siedmiu utworach na ogólną liczbę przeszło stu pisze zwyczajnym stylem rymowanej publicystyki, mniejsza o to, czy gorszym czy lepszym artystycznie od stylu sielankowego. Pisze o tym co myśli i czuje naprawdę. Niewątpliwie również jako „autentysta", wierny jednak tym razem szerszym, ideologicznym konsekwencjom „polskiego prądu literackiego". Co pisze? Oto wymowny obraz wsi, którą w miarę rozwoju cywilizacji technicznej wypiera miasto:

„Chałupy niskie runęły pod naporem domków ceglanych —
lecz jeszcze... jakby na podziw, na uboczu trwają;
tym, z zaciśniętymi szczękami, czekającym na przewrót w kraju,
dziesięciogrosze nowiny przynosi wiatr poranny.

Rolników tu już nie ma; chłopów nie ma,
choć wszyscy chłopską krew zapalają na jutro, które przyjdzie;
tak tutaj, niezamieniony na złoto, czas do kanałów ścieka,
choć toczy się dalej tak samo, jak przed wiekami życie.
Przed siódmą obieleni wapnem murarze
idą w miasto, aż zatrzaśnie ich salwa syren fabrycznych,
ci, z „nienawiścią klasową", o Polsce „C" tutaj marzą,
w sobotnie wieczory z karczem, jak
z wieców, wysypując się w rynsztok uliczny.

Mamy podatkowych poborców,
egzekutorów, żydów,
zbieraczy rat, autobus i światło, falangi,
naciągaczy, żebraków: —
baby do miasta z mlekiem już coraz rzadziej idą:
ginie wieś! (tak! — przyp. nasz).
Za to nadwyżkę kultury z śmieciami wylewa nam Kraków.

Strajki rolne nie dla nas, gdy z pola
naręczami już zniesiesz.
Zresztą tu ludzie skłóceni: tym ziemia
rodzi drogo, tym darmo —
ziemię rozdrapywaną i płodną trzeba
powierzyć żandarmom —
i czekać, co zdarzy przedmiejska
kapuściana jesień.

Ale „my chcemy"! Szklanych domów nie
chcemy tu mieć!
Niech będą ceglane, niech będą i siwe,
nadrzeczne, przydrożne i inne;
w ziemi przyrzecznej, łąkowej, pachnącej
wiatrem nizinnym,
wczorajsza się jawi łanami, kmiecą,
królewska wieś".
(„Do premiera")

Widzimy, że poecie wystarczyło porzucenie konwencji literackiej sielanki, aby jego wierszowany manifest publicystyczny wyraził zarówno dziejową prawdę współczesnej wsi jak i dał pełne naświetlenie tej prawdy w duchu wstecznej ideologii polityczno-kulturalnej. Nie dajmy się zasugerować akcentami społecznego buntu. Ponad nie wyrasta niechęć do miasta, „nienawiści klasowej" i ideał „wsi wczorajszej, królewskiej i kmiecej". Czy ta wyrażona bez poetyckich obsłonek i przy-

mgleń postawa jest w gruncie rzeczy inną niż sens „śpiewu maleńkich rzeczy", grających wierzb, kwilenia czajek? Droga od sielankowego sentymentalizmu, od owych inflantylnych zdrobnień, owych zięb i sikoreczek, co to „pilit na gałązkach" od błogosławienia złamanych słomek żytnich do strof o „nienawiści klasowej" i nadwyżkach kultury — wydaje się prosta.

Chcecie wytłumaczenia psychologicznego? Znajdziemy je również w zbiorku Frasika. Oto mechanizm kształtowania się postawy społecznej autora, niespodziewanie i wyraziście ujawniony w jednym z dwu fragmentów prozy poetyckiej, która nosi tytuł „Wzruszenie żelazne":

„Idzie się miastem. Ulica, na której nawiedziło mnie wzruszenie żelazne, z obu stron opada do środka i tak załamana, tworzy jakby dwa miejskie wzgórza. W miejscu najniższym jej załamania, nad nią — most kolejowy. Po bokach z wysoka, patrzą w upadłą i zabłoconą ulicę bloki domów kamiennych. Popołudniowy zmierzch jesienny. Nagle od mostu auto ciężarowe załadowane wysoko drewnianymi pakami. Robotnicy siedzą po bokach i podtrzymują je sobą, aby czasem nie upadły w dół. Widać jak zabłocone auto całym rozpędem wjeżdża w ulicę, w dół — aby pokonać drugie, przeciwne sobie wzniesienie, ale coraz wolniej, zabłocone i rozklekotane traci szybkość — huczące i terkocząc maszyna wydaje z siebie ostatek siły. Myślę: co będzie jak stanie? Jeśli hamulce wytrzymają, zostanie. W przeciwnym razie runie w dół, unoszone prawem fizycznym. Ale, jakoś — przechodzi. Mija, zwycięża wzniesienie ulicy. Ale to jeszcze nic. Oto w tej chwili, gdy resztkami sił żelaznych dyszy — tuż obok, w tym samym kierunku, lśniąca limuzyna, szumiąc nowymi oponami o bruk, swobodnie mija wzniesienie, jakby drwiła z jego pochyłości. I oto teraz odczuwam w całej klatce piersiowej wburzenie, jakby dreszcz, rodzący się tam w głębi, gwałtownie podnoszący się ku górze, ku krtani. Czuję, jak się tam coś zaczyna. Rozumiem: wzruszenie żelazne. Żal mi ciężarowego auta jak człowieka! Czuję — żelazo żyje.

Gdy ochłapane i opuszczone, pokonawszy wreszcie wzniesienie, ginie na zakręcie — obraz rozszerza się — i oto staje przede mną wizja, ogromna wizja krzywdy społecznej. Robotnicy, chłopi — masy, jakby więc — i ci z przeciwnej strony".

Autor pyta retorycznie: „Skąd te dziwne asocjacje?" Skąd? Odpowiadamy mu: z bebechów! Z bebechów, o których pisał już St. Ign. Witkiewicz. No i z „autentyzmu", bo wzruszenie żelazne jest szczere „wewnętrznie przeżyte" i nie ma nic wspólnego z poezją „wyciśniętą... przez autora dla celów handlowych", lub na „zamówienie społeczne". Autor skarży się: „Odtąd wzruszenie żelazne stoi na wietrze za oknami. Nie dało się okuć w słowa". Jasne. Trudno jest okuć w słowa nonsens, jeśli mu się chce nadać pozory głębszego, społecznego znaczenia.

Irracjonalizm, nonsens czysty, groteska — mogą dać wyniki artystyczne właśnie jedynie wtedy, gdy traktuje się je „nieautentycznie". Błąd zasadniczy, wewnętrzne pęknięcie „autentyzmu" stanowiło m. in. połączenie irracjonalizmu" z praktycyzmem, zwalczanie czystej fantastyki, pozbawionej odniesień do realnej rzeczywistości a posługiwanie się nią w sposób najbardziej niezamierzony. „Wzruszenie żelazne" było nonsensem nie jako obraz fantastyczny, tylko jako próba uznania skojarzeń wyrosłych z przesłanek pozalogicznych za postawę wartościowania humanistycznego. Antropomorfizacja dwóch samochodów przeczy naszym pojęciom o funkcji tych przedmiotów i dlatego nie budzi ani cienia tych uczuć, które czułostkowy w tym wypadku i fałszywie sentymentalny autor im przypisuje. Mechanizm niekontrolowanych przez intelekt reakcji „bebechowatych" leży tu u podłoża fałszywych wniosków artystycznych i fałszywej postawy idealizmu społecznego.

Poglądy poetów i programy poetyckie, nie zależnie od osobistych uzdolnień, kształtują w pewien sposób, choć może nie wyłączny i nie według z góry gotowych schematów, wyniki pracy artysty. Na osiągnięciach artystycznych poetów „autentyzmu" mszczą się fałszywe założenia myślowe i wsteczny społecznie charakter koncepcji na którą się powołują. Odrzucenie jej i rewizja tych założeń w duchu ludowej ideologii postępu wydaje się jako postulat w stosunku do współpracowników pisma, które tę ideologię szerzy, konsekwencją nieodparta, zamieszczone zaś w tym piśmie artykuły w rodzaju „Perspektyw autentyzmu" — przykrym nieporozumieniem.

Ryszard Matuszewski

Powrót z przedsionka śmierci *)

Po sześciu prawie latach wrócił człowiek z obozu w ramy normalnego życia. Ocieranie się o wymęczoną, plugawą często śmierć, czas istnienia w lepkiej atmosferze strachu, głodu, poniewierki zostały już za nim. Skończyło się bytowanie na granicy, za którą niknął ostatnie resztki człowieczeństwa. Ale nic się jeszcze nie zaczyna. Bo ustąpiły jedynie zewnętrzne akcesoria obozowego życia, lecz tego co długie ich trwanie osadziło w psychice ludzkiej nie może zmazać sam fakt powrotu. Obce i dalekie jest życie otoczenia dla człowieka z obozu. Bliskie i silne są wspomnienia.

Męczy zgiełk, przeszkadzają ludzie i ich natrętna ciekawość, tak mało, tak nic nie rozumiejąca z tego, czym był obóz. Trzeba uciec na ciche ścieżki, trzeba przede wszystkim odszukać samego siebie, bo tylko w sobie samym znaleźć można siły do pełnego powrotu. Należy pokonać przeszłość, zrzucić przygniatający ciężar wspomnień tak, by można było patrzeć na czas miniony okiem człowieka, co go nie tylko przetrwał, lecz i zwyciężył. Okiełznać, ujarzmić natarczywe obrazy niedawnych chwil choćby przez opanowanie ich własnym słowem. I pisze listy człowiek z obozu. Pisze siedząc pod morwą w towarzystwie małego kota - przybłędy i przyjacielskiego kundla. Jedynie ci mieszkańcy podalpejskiej wsi nie są mu obcy.

Jest tych listów kilkanaście. Mówią one o obozowym życiu. Ale nie fakty, nie wydarzenia zewnętrzne są ich istotną treścią. Jest nią walka o ocalenie sześciu lat życia spędzonych za drutami oparta na zrozumieniu, że nie można bezkarnie okaleczyć własnej przeszłości wykreślając z niej tak wielki szmat czasu. Walka z makabrycznym zalewem wspomnień, które tak chętnie a tak bezskutecznie pamięć pragnęłaby usunąć. Trzeba więc uczłowieczyć koszmar, włączyć go jakoś w całość życia, skoro nie można pozbyć się go całkowicie. Trudna to praca, bo przecież czas spędzony w obozie niezwykle mało ma wspólnych cech z poprzedzającym go okresem. Szuka się więzów najbłahszych bodaj, podkreśla i akcentuje jaśniejsze momenty. Jakże ich mało! Jak ciężkim jest zadanie człowieka dążącego do zabliźnienia swej poszarpanej nieludzko psychiki, do uratowania części swej przeszłości.

Nie znajdujemy w „Listach spod morwy" zwycięstwa człowieka nad zmorą wspomnień. Rekonwalescencja po obozie — to kwestia wielu, wielu dni. Kto wie, czy życia starczy na opanowanie siebie i czasu. Kto wie, jak długo jeszcze ci, co przeszli obozy koncentracyjne, pozostaną „...podobni do ludzi, którzy wypadli z pociągu na zakręcie, połamali sobie nogi i teraz usiłują go dogonić na szczudłach". Przez cały czas ich pobytu za ogrodzeniami „kazetów" pociąg życia biegł swoim torem. Muszą go dogonić, jeśli chcą jeszcze w życiu wziąć udział. A ciężka, bo samotna będzie ta gonitwa. Rozeszli się towarzysze z baraków a ludzie „z życia nie wiele mogą pomóc". „Czujemy pustkę koło siebie, czujemy pustkę w sobie" — pisze Morcinek. Nadzieja zapełnienia tej pustki pozostaje w przyszłości.

Niezaprzeczalna i nieprzemijająca wartość tej książki leży w tym, że ukazuje ona ogrom spustoszeń, jakie pobyt w obozach niemieckich poczynił w psychice ludzi, co ten okres przetrwali. „Listy spod morwy" to wstrząsający dokument. Nie znajdzie się nigdy tak, jak książka Szmaglewskiej na sali procesu. Szkody, które odsłania Morcinek, zniszczenia jakie pokazuje są żadnym kodeksem niewymierzalne. Żadne prawo nie ma dla nich zadośćuczynienia. Można wymierzyć karę za morderstwo, można sądzić zbrodniarza za jego czyny, lecz nie ma paragrafu mówiącego o moralnych następstwach atmosfery przestępstwa. A właśnie te skutki moralne to najtragiczniejszy aspekt obozów.

Trudno czytać tę książkę. To co nieludzkie wymyka się człowieczej wyobraźni, która poza tym opornie i niechętnie uzmysławia sobie obrazy bólów, cierpień i męki. A że to są główne barwy obozowej rzeczywistości więc nieraz odkłada się „Listy spod morwy". Lecz wraca się do nich jeszcze częściej. Bo ciągną, pasjonują. Bo dają odpowiedź na pytanie: jak tam było. Mówią o tym nie przez inwentaryzację szeregu faktów, nie przez piętrzenie coraz okropniejszych wydarzeń, lecz pozwalają poznać przeżycia ludzi, co żyli w tych koszmarnych warunkach. Warunkach, których ktoś, kto ich nie zna, kto ich nie dotknął sam, nigdy nie będzie miał właściwego wyobrażenia. Fakty można znaleźć w każdym prawie dzienniku, ale tylko artysta powie tyle o życiu w obozie, ile powiedział Morcinek. Sądzę, że jego książka to wielki krok na drodze zrozumienia „ludzi z obozów" przez „ludzi z życia".

Edward Szuster

*) Gustaw Morcinek. „Listy spod morwy" (Sachsenhausen—Dachau). Wyd. „Literatura Polska". Katowice 1946.

Z czasopism francuskich

Gdyby Emmanuel Mounier, naczelny redaktor miesięcznika „Esprit", kóry niedawno bawił w Polsce z wycieczką intelektualistów francuskich, miał możność przeczytać numery „Odrodzenia" i „Kuźnicy" z ostatnich paru miesięcy, przekonałby się jak bliskie są nam pewne problemy rozpatrywane na łamach jego pisma. I równocześnie, jak oddalone są od siebie próby ich rozwiązań.

Miesięcznik „Esprit" powstał w roku 1932 i stał się naczelnym organem personalizmu we Francji. Notatka informująca o powstaniu i rozwoju tego pisma zaczyna się malowniczo: lato 1932. Piętnastu ludzi zbiera się w górach. Jedni z nich są katolikami, inni socjalistami, inni po prostu sobą.

Czego pragną? Na czym polega ich oryginalność? Oto badając przyczyny kryzysu światowego, który nazwany jest przez jednych złem przejściowym, przez innych kryzysem podstawowym natury ekonomicznej, odpowiadają wreszcie zgodnie: jest to jednocześnie kryzys ekonomiczny i duchowy, kryzys struktury i człowieka. Założyciele „Esprit" stwierdzają wspólne dążenie do połączenia rewolucji świeckiej z moralną.

Po okresie poszukiwań o charakterze niemal wyłącznie moralnym (recherche de la pureté) następuje okres zaciągnięcia się w szeregi antyfaszystowskie, okres wywołany naglącymi wypadkami politycznymi — wojna hiszpańska, Anschluss, Monachium. W czasie okupacji północnej Francji redakcja przenosi się do strefy południowej, gdzie po kilku numerach wydawnictwo zostaje zamknięte przez okupanta. Redaktor i naczelni współpracownicy zostają aresztowani.

Dziś „Esprit" podejmuje swą pracę próbując jednoczyć postulaty rewolucji społecznej i ekonomicznej z dążeniem do odrodzenia podstawowych wartości ludzkich. Bo właśnie w „Esprit" te dwie idee są traktowane niezależnie, — uzdrowienie wyłącznie stosunków społeczno-ekonomicznych nie budzi wiary w konsekwencje moralne takiej rewolucji. „Personalizm w obliczu panowania rządów pieniądza i rządów totalistycznych stwierdza prymat wartości osobistych w świecie ludzkim". Personalizm jest ruchem o charakterze przede wszystkim moralnym, ale twórca jego broni się przed tą grząską wyłącznością i możliwością spaczeń, zastrzegając się przed zbytnim przerostem indywidualizmu, mitologizowaniem, mistycyzmem. „Realizm duchowy" ma strzec zwolenników personalizmu od tych degeneracji. Terminowi temu sekundują takie, jak: człowiek wcielony", „myśl zaangażowana", „działanie uwarunkowane".

Personalizm w dzisiejszej postaci przedstawia nam się jako dążenie do stworzenia jakiejś formuły, która by połączyła katolicką moralność z postulatami marksizmu. Dążenie to miało już przed wojną niejeden precedens, co dziś jest we Francji w użyciu termin „komunista-chrześcijanin", nie bacząc na konieczne niekonsekwencje wynikające z zestawienia tych dwu postaw.

Rozważań na ten temat nie brak było i u nas; one to właśnie mogłyby zainteresować E. Mounier, gdyby przejrzał nasze pisma społeczno-literackie. W „Propozycjach teraźniejszości" (Odrodzenie Nr 45) pisał J. Andrzejewski o próbach przekroczenia granic dzielących marksizm i katolicyzm.

Personaliści nie będąc w stanie zbudować systemu spoistego, czynią sobie z tego zasługę. „Sprzeciwiany się temu, by pod etykietę personalizmu podstawiać system zamknięty". Jest przy tym coś z relatywizmu i z szacunku dla zasad fair-play, i z niedomiaru gorliwości dla głoszonej przez siebie teorii w takim stwierdzeniu: „Powiedzieliśmy nie dawno, że w chwili obecnej, gdy marksizm, egzystencjalizm i personalizm biorą udział w tworzeniu filozofii rewolucyjnej na zachodzie, nie można obmurowywać tych trzech ruchliwych ugrupowań. Ponieważ one to naświetlają w różnych kierunkach szerokie prowincje tego samego kraju, byłoby zdradą wobec przyszłości człowieka chcieć je przekształcać lub zwalczać ich płodną konkurencję".

Jak widzimy, taktyka personalistów podporządkowuje się zasadom nieinterwencji i laissez faire'yzmu.

I jeszcze jedno. Jakie są „ostateczne" ich troski: „Nie będziemy się wypierali naszej troski o Absolut, która zostaje podstawą zasadniczą naszego działania. Jednakże ten absolut (a obejmujemy tu znów wielką tradycję, która łączy Dyonizego Aeropagitę i Św. Jana od Krzyża z Pascalem i Kierkegaardem i Kafką) jest absolutem ukrytym". (Esprit avril 1946).

W tymże numerze „Esprit" pomiędzy korespondencjami z Holandii, Jugosławii i Rumunii znajduje się notatka z Polski, podpisana Y. K., która informuje o szerokim rozkrzewieniu się idei personalistycznych pośród młodzieży w okresie okupacji. Jednostronność tej korespondencji nie może się niestety przyczynić do należytego naświetlenia ugrupowań ideowych młodzieży polskiej w tym okresie.

*
**

Miesięcznik Poésie" w przeciwieństwie do „Esprit" nie reprezentuje żadnego kierunku światopoglądowego, ani estetycznego, jakkolwiek jest jednym z najpoważniejszych literackich periodyków francuskich. Ułatwia to zorientowanie się w różnych kierunkach literackich, jakie spotyka się obecnie we Francji. Nierzadko znajdujemy tam i twórczość fantastyczną, np. rodzaj baśni z fabułą, ujętej w krótki poemat prozą, — forma, która coraz bardziej zanika u nas obecnie. A jakże daleka równocześnie od poetyki Eluarda, piszącego w jednym z wierszy:

Je dis ce que je vois
ce que je sais
ce qui est vrai

Ci, którzy zetknęli się z twórczością Aragona i Eluarda i według ich poziomu chcieliby mierzyć stan poezji we Francji, rozczarowaliby się głęboko. Nie tylko my przeżywamy okres posuchy poetyckiej.

Kiedy niedawno wygłaszał u nas w Łodzi odczyt prof. Sorbony Ch. Bruneau dając popularną charakterystykę stanu współczesnej sztuki we Francji, kładł on nacisk na to, że poezja w czasie wojny stała się sztuką najbardziej popularną, bojową i narodową. „Poezja oporu", twórczość Eluarda i Aragona pozwala stwierdzić, że w poezji francuskiej dokonał się przewrót; po okresie literatury luksusowej, po epoce surrealizmu i Giraudoux odnajduje poezja znów swój kontakt z narodem i tradycją literacką. Pamiętam drukowane w jednym z numerów „Europe" urocze i rozumne sprawozdania dzieci uczących się w szkole powszechnej poematu Eluarda „Liberté", które są najlepszym dowodem komunikatywności prawdziwie współczesnej poezji na najwyższym poziomie.

Wypowiedzi teoretycznych na temat poezji nie spotyka się w miesięczniku „Poésie". Można je wyłowić ze sprawozdań z tomików, ale tam są one raczej dziełem krytyków. Wyjątek pod tym względem stanowi wypowiedź T. S. Eliota na temat roli społecznej poety. Odczyt na ten temat wygłosił słynny poeta angielski w Paryżu. Pozwolimy sobie przytoczyć pewne zasadnicze jego tezy, ponieważ i na temat poezji dyskutowano u nas w gorącym okresie powojennym (por. wypowiedzi J. Przybosia, M. Jastruna, A. Ważyka).

Wypowiedź Eliota cechuje powaga i niechęć do tworzenia efektownych sformułowań. Nie daje ona bezpośrednich bodźców do dyskusji i nie rzutuje zagadnienia na chwilę obecną. Porządkuje ona jednak pewne problemy ogólne dotyczące roli poezji.

„Nie wierzę, by można było tworzyć poezję wyrażając idee zbyt oryginalne, lub zbyt nowe. Trzeba, aby poeta sam zdobył już z nich doświadczenia i aby doświadczenia te były już ogólne. Ponieważ zadaniem poety jest wyrażać kulturę swoich czasów, kulturę do której należy, a nie dążenia do kultury, która nie zmaterializowała się jeszcze na ziemi. Oczywiście nie znaczy to, by poeta musiał pochwalać społeczeństwo w którym żyje. Wyrażać kulturę swoich czasów, a pochwalać współczesne społeczeństwo, to dwie sprawy zupełnie różne. W rzeczywistości wyrażanie tej kultury może postawić poetę w gwałtownej opozycji przeciw społeczeństwu, które ją kompromituje".

„Wydaje mi się, że dobry poeta przynależy ściśle do swych idei, przekonań i koncepcyj, będąc równocześnie od nich oderwany. Jeśli postawa poety nie może być wzięta pod dyskusję, ma się ochotę uważać jego poezję za podejrzaną. Poezja staje się czystą wirtuozerią, jeśli podoba nam się jej forma, podczas gdy jej zawartość pozostawia nas obojętnymi. I odwrotnie, jeśli pociągają nas idee, podczas gdy nie interesuje nas zupełnie wyraz słowny — to, co czytamy staje się dla nas po prostu złą prozą".

„Próbujmy ocenić poezję według kryteriów najpospolitszych: czy poezja powinna sprawiać przyjemność? Lecz zapytają mnie: jakiego rodzaju przyjemność? Na co mogę tylko odpowiedzieć: przyjemność, którą może sprawiać dobra poezja. Jest bezpożyteczne dorzucać, że jeśli poemat nie podobał się nigdy nikomu oprócz autora, nie może spełniać swej roli społecznej.

Czy poeta odgrywa większą rolę niż inny, skoro jego dzieło poetyckie sprawia przyjemność większej liczbie czytelników? Zdarza się czasem, że poeta czytany i podobający się w swoim czasie tłumowi czytelników popada później w zapomnienie. Odwrotnie, jakiś inny poeta, który był czytany i podobał się zaledwie małej grupie ludzi, stale z biegiem czasu nie przestaje się pewnej grupie podobać. Według mego zdania nie większa jest rola społeczna pierwszego poety niż drugiego. Wielcy poeci to, na ogół ci, których dzieło przysparzało od chwili, gdy je stworzyli największej przyjemności największej liczbie czytelników, i to czytelników różnych. Oczywiście biorę pod uwagę i czytelników, którzy za granicą czytają tych poetów w przekładach.

Każdy poeta ma w swym kraju dla ziomków znaczenie takie, jakiego nie może mieć gdzie indziej. Poeta musi być wielki w swoim kraju, jeśli chce być wielkim poetą europejskim, czy światowym.

Poezja jest najbardziej ze wszystkich rodzajów sztuki związana z językiem. Pierwszym zadaniem poety jest utrzymywać rodzinny język, nie obniżać jego wartości następnie rozwijać go.

Jeśli kraj zaprzestaje wydawać wielkich autorów, a przede wszystkim wielkich poetów, jego język upodli się, kultura się obniży, wreszcie tak się zuboży, że pozwoli, aby obsługiwała go inna kultura, obca, a bardziej krzepka".

Julia Hartwig.

TREŚĆ NUMERU.

W poprzednim (27) numerze „Kuźnicy" z dnia 15-go lipca 1946 roku: **Mieczysław Wionczek:** Spotkanie z Francją. **Lech Piwowar:** Dzień Wojenny. **Jan Kott:** Wstęp do poezji ludzkiej. **Zofia Karpińska:** Błędne drogi. **Seweryn Pollak:** Wolność—rzecz ludzka. **Janusz Gałądyk:** Węgiel i krew. **Pierre-Jean Jouve:** Poezje. **Przecław Smolik:** Salon wiosenny. **Mariusz Margal:** Kraj, który woła o pomoc. **Tadeusz Siwert:** Szkodliwa książka. — **Władysław Rymkiewicz:** Resztówka. — **Kazimierz Brandys:** „Granica" za zakrętem. — **Jan Szczepański:** Cele i klęski niemieckiej polityki w Polsce. — **J. Ż.:** Z prasy angielskiej. — **Adam Ważyk:** Niedyskrecje malarskie. — **Jan Rojewski:** Siedem dni. — Korespondencja. — **ph:** Przegląd prasy. — Noty.

PRZEGLĄD PRASY

Sprawa kultury ludowej w Polsce wysunęła się w związku z emancypacją warstwy chłopskiej na plan pierwszy. Pytanie, czy masy ludowe winny tworzyć własną kulturę w oparciu o to wszystko, do czego tęsknią działacze pewnych ugrupowań ludowych, jest pytaniem zasadniczym ze względu na strukturę demograficzną naszego kraju, zamieszkałego w przeważającej ilości przez ludność chłopską. To za kim pójdą te masy chłopskie — za ideologami wiejskiej mistyki, biologii i sztucznego podtrzymywania separatyzmu wsi czy za tymi, którzy, traktując kulturę jako nadbudowę procesów ekonomicznych i społecznych, chcą dać zrównanemu dziś w prawach społecznych chłopu poprawną elementarną wiedzę o świecie, to niewątpliwie rozstrzygnie o przyszłości kulturalnej Polski.

Niejednokrotnie na łamach „Kuźnicy" wytykaliśmy błędne stanowisko w sprawie tak zwanej kultury ludowej, nie tylko krytykując jej praktykę (noty o „Wsi" w okresie gdy pismo to zbaczało na tory separatyzmu kulturalnego, negatywny stosunek do reperkusji tych tendencji w liryce autentystów) lecz również atakując ostro jej najzaciętszych ideologów (artykuł Brandysa o książce prof. Pigonia) lub też podkreślając luki i błędy rozumowania w ideowych deklaracjach pewnych organizacji ludowych (nota w związku z deklaracją ideową „Wici").

Jednym z instrumentów oddziaływania na masy chłopskie, na młodzież chłopską, są uniwersytety ludowe. Tak jak sprawa szkolnictwa i sprawa oświaty pozaszkolnej musi żywo interesować każdego, kto rozumie, że w związku z radykalnymi zmianami, jakie nastąpiły w gospodarczym i społecznym układzie życia narodowego, mieszczaństwo i warstwa szlachecka przestały być jedynymi źródłami dostarczającymi inteligencji zawodowej, tak samo sprawa uniwersytetów ludowych nie może być obojętna dla tych wszystkich, którzy orientują się, że to wieś właśnie musi dostarczyć nam następnych pokoleń inteligencji. Czy na te pokolenia inteligentów, których zadaniem będzie praca i decydowanie o losach całego narodu, mogą pozytywnie oddziaływać instytucje, starające się utrwalić w chłopach raczej poczucie odrębności, a co gorsza poczucie wyższości owej kultury ludowej? Czy uniwersytety ludowe, pojmujące swoje zadanie jako wychowywanie osobowości człowieka, a nie jako podawanie mu koniecznej wiedzy, mogą w należyty sposób oddziaływać na młodzież chłopską? Wydaje się nam, że nie mogą. Dlatego też z zainteresowaniem przeczytaliśmy w nr. 4 „Wsi i państwa" referat Eugeniusza Garbacika „Uniwersytety ludowe w wyzwolonej Polsce" i zaczerpnęliśmy stamtąd wiele cennych informacji, które ostatecznie utwierdzają nas w tym, że działalność uniwersytetów ludowych w tej formie, w jakiej odbywa się ona dotychczas i jaką gorliwie popiera wraz z pewnym odłamem ruchu ludowego p. Garbacik, nie jest słuszna.

Przede wszystkim musimy zakwestionować następującą tezę p. Garbacika: uniwersytety ludowe działały przed wojną. Były wówczas zjawiskiem pozytywnym, „przygotowały wieś do objęcia nowej roli w państwie". Obecnie uniwersytety ludowe są „gotowym instrumentem utrwalania i pogłębiania zdobyczy demokratycznych". W tym stanie rzeczy, zdaniem p. Garbacika, nie należy przeprowadzać w nich żadnych zmian, ani też rewidować „ich zasad i celów". Niewątpliwie w okresie przedwrześniowym uniwersytet w Gaci był świadectwem wysokiej świadomości polskiego chłopa. Niewątpliwie uniwersytety ludowe w owym okresie spełniały pozytywnie swoją rolę. Tak jednak jak pozytywne przed wojną niektóre ludowe ugrupowania polityczne, stały się po wojnie, nie zrozumiawszy istoty przemian, ośrodkami politycznej negacji i zastoju, tak samo instytucje ich wpływom podporządkowane, przestały spełniać rolę pozytywną, a stały się, co tu ukrywać, kłodami na drodze rozwoju rzetelnych wartości wsi.

Spór o to, jaki ma być uniwersytet ludowy i o to jakie zadania przed nim stoją, prowadzi p. Garbacik nie, jakby się mogło zdawać, z publicystami „Kuźnicy" czy „Odrodzenia", lecz z przedstawicielem ruchu ludowego, redaktorem „Wsi" Janem Aleksandrem Królem. Nie sposób wdawać się nam tu w szczegóły sporu. Alternatywa jest jasna: albo, jak chce Król, uniwersytety ludowe będą dawały chłopu elementy rzetelnej, konkretnej wiedzy o świecie, albo będą brnęły w mistyce, biologii i będą się zajmowały formowaniem „osobowości" wychowanków. Z pewnością owe „życie duchowe", o które tak dopomina się p. Garbacik powstanie o wiele snadniej w jednostkach, które będą świadome mechanizmu otaczających je zjawisk. Pesymizm i niewiara w człowieka, lęk przed postępem technicznym, jakie cechowały wspomnianą już deklarację ideową „Wici", operowanie argumentami biologii i psychologii, tak częstymi w wypowiedziach wszystkich publicystów pewnego odłamu ideologii ludowej, wszystko to może się tylko przyczynić do wzniesienia chińskiego muru między chłopem a robotnikiem i inteligentem pracującym, do konserwowania nie dającej się utrzymać wobec wyrównania się poziomów wsi i miasta, separatystycznej kultury ludowej. Gdy w niedalekiej już może przyszłości wieś polska zostanie uprzemysłowiona i zelektryfikowana, gdy obecnie już głos mieszkańca wsi w równej mierze decyduje o sprawach naszego kraju, co głos mieszkańca miasta, utrzymywanie tej odrębności jest napewno szkodliwe. Zarzuca się często publicystom obozu lewicy operowanie demagogią. Nie jest to słuszne. Publicystyka obozu lewicy opiera się przede wszystkim na konkretnych faktach gospodarczych i społecznych i wyciąga z nich wnioski. Jest poprostu logiczna. Natomiast niewątpliwą demagogią są twierdzenia p. Garbacika, że „uniwersytety ludowe są instytucjami, które z natury rzeczy muszą być apolityczne, nie mogą mieć na celu kształcenia przewodników partyjnych..." Jest to odpowiedź na rzekome tezy Króla, odpowiedź na to, czego Król nigdy nie powiedział, a któremu p. Garbacik przypisuje, że, jego zdaniem, „miejsce chłopa jest przy pługu, przy cepach, przy zadaniach rzeczowych", które są do wykonania — tamte zaś sprawy (życie wewnętrzne, psychika chłopska, osobowość — przyp. ph.) załatwią się kiedyś, po czasie, po pracach same. Wątpić należy, by którykolwiek chłop zgodził się dziś na takie perspektywy życia, które tak bardzo przypominają właśnie... czasy pańszczyźniane, kiedy jedynym prawem chłopa była znojna praca i bat ekonoma, a rzeczą pana było bawić się w kulturę".

Obszerny ten cytat z artykułu p. Garbacika przytoczyliśmy w całości, by stwierdzić dobitnie, kto naprawdę walczy argumentami demagogicznymi — czy Król, który krytykując dotychczasowe metody wychowawcze uniwersytetów ludowych, domaga się jedynie, by dawały one rzetelną wiedzę oraz dopomagały chłopu do „wchodzenia w kulturę" ogólnonarodową, czy p. Garbacik, który insynuuje, że tezy te są tezami politycznymi, natomiast to, co robią uniwersytety ludowe w obecnej chwili jest tylko czystym, apolitycznym przerabianiem zjadaczy chleba w aniołów.

Autor referatu, jak i pismo w którym tekst referatu został opublikowany, należy do bardzo określonego stronnictwa politycznego, zaś działalność uniwersytetów ludowych w lwiej części leje wodę na młyn ideologii tego stronnictwa. Oto źródło dąsów p. Garbacika na artykuł Jana Aleksandra Króla i przyczyna gwałtownej obrony istniejącego stanu rzeczy.

Omówiwszy tak szeroko cytowany wyżej artykuł „Wsi i Państwa" nie jesteśmy w stanie zająć się obszerniej omówieniem nowych zeszytów pism miesięcznych („Twórczość", nr. 5) ani też nowości czasopiśmienniczych („Urania", pismo popularyzujące zagadnienia astronomii, „Znak", miesięcznik katolicki). Niemniej jednak resztę przysługującego przeglądowi prasy miejsca poświęcimy dwum numerom londyńskich „Wiadomości", redagowanych przez p. Mieczysława Grydzewskiego, b. redaktora „Wiadomości Literackich". Londyńskie „Wiadomości" są organem „nieprzejednanych". Wydawane w objętości jednej stronicy przedwojennych „Wiadomości Literackich", straciły nie tylko wszelkie do nich podobieństwo zewnętrzne, lecz przede wszystkim różnią się od nich wielce swoją treścią. Dawny redaktor liberalnego tygodnika zmienił się snać w redaktora przedwojennego „Merkuriusza Ordynaryjnego". Cała bieda w tym, że przemiana zaszła po sześcioletniej wojnie, która poważnie nadwyrężyła fundamenty ideologiczne merkuriuszowego myślenia. Nr. 13 tego pisma przynosi artykuł „socjalisty" Adama Pragiera „Socjalizm i komunizm", poemat Hemara „Liberum veto", poświęcony pamięci Becka, żałosne konstatacje Zygmunta Nowakowskiego na temat osamotnienia „nieprzejednanych" pisarzy na emigracji, których, dodajmy od siebie, trudno nam się doliczyć na palcach jednej ręki. Nr. poprzedni (12) zawiera m. in. duży i niedobry poemat Jana Rostworowskiego „Rachunek sumienia" apologię społecznych wartości „Trylogii", pióra Nowakowskiego i jedyną istotną w tych dwóch przesłanych nam z dalekiego Londynu numerach „Wiadomości" pozycję: wspomnienie Stanisława Strońskiego z cyklu „W Krakowie 1910—1920" o Szkole Krakowskiej i o Michale Bobrzyńskim.

„Wiadomości" pilnie śledzą treść czasopism wydawanych w kraju i zamieszczają glossowane przez siebie cytaty z naszych tygodników. Jak mogliśmy zauważyć w nr. 13 naprzykład, chętnie zamiast gloss własnych przytaczają dla przeciwstawienia się ideologii omawianych artykułów z krajowych pism postępowych, opinie „Tygodnika Powszechnego".

W sumie oba numery świadczą o całkowitym rozkładzie w obozie mielicznych „nieprzejednanych", o kompletnej ignorancji, prawdziwej czy może raczej udanej, w sprawach krajowych, wreszcie, i to jest najbardziej przygnębiające, o niesłychanej naiwności.

Londyńscy „nieprzejednani" nie przypominają w niczym postaci z obrazów Matejki. W drzwiach sejmowej sali leży nie Rejtan — lecz groteskowe postaci p. Mariana Hemara, p. Adama Pragiera i p. Zygmunta Nowakowskiego. Tych Rejtanów nikt nie posłucha, tymbardziej, że to oni wbrew sejmowi narodu uchwalają warcholskie „nie pozwalam"!

ph

NAGRODA LITERACKA „ODRODZENIA"

W dniu 22 lipca br. przyznana zostanie nagroda literacka „Odrodzenia" za najlepszy tom prozy po 1 września 1939 r. W jury udział biorą: Kazimierz Czachowski, Maria Dąbrowska, Julian Krzyżanowski, Wacław Kubacki, Karol Kuryluk, Stanisław Łempicki, Kazimierz Wyka.

NAGRODA LITERACKA M. POZNANIA

Dnia 28 czerwca br. Zarząd Miejski m. Poznania przyznał Wojciechowi Bakowi nagrodę literacką Poznania za całokształt jego twórczości poetyckiej.

„RUCH MUZYCZNY"

Ukazał się Nr. 11—12 dwutygodnika „Ruch Muzyczny", jedynego w Polsce czasopisma muzycznego, wydawanego przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne w Krakowie (Basztowa 23) pod redakcją Stefana Kisielewskiego. Numer 11—12 jest numerem specjalnym, poświęconym aktualnym potrzebom, brakom i bolączkom muzyki polskiej. Obok memoriału w sprawie obecnego stanu muzyki polskiej, podpisanego przez najwybitniejszych przedstawicieli polskiego świata artystycznego, na treść numeru składają się prace Zbigniewa Drzewieckiego, Edmunda Rudnickiego, Romana Palestra, Tadeusza Ochlewskiego, Stefanii Łobaczewskiej, Stanisława Wiechowicza, Barbary Podoskiej-Palestrowej, Tadeusza Szeligowskiego, Adama Riegera, Zygmunta Mycielskiego, Stanisława Głowackiego i innych. Bogatą treść numeru specjalnego uzupełniają korespondencje z całego kraju, aktualia zagraniczne, polemika, wreszcie ogłoszenia ostatnich wydawnictw Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

ŻYCIE TEATRU

Teatr Wojska i figle Skapenów

Przed kilku miesiącami sprawa wewnętrznych stosunków w Teatrze Wojska, poruszona w „Robotniku" przez Minkiewicza, znalazła swoje odbicie w kilku listach i notach ogłoszonych w „Kuźnicy". Wyjaśnialiśmy wtedy, że życie nawet tak osobliwej komórki społecznej, jak teatr, nie może być wyjęte spod oceny zewnętrznego obserwatora. Od tego czasu zaszły poważne zmiany w tym bezsprzecznie najlepszym teatrze, jaki Polska obecnie posiada. Zmiany te łączą się przede wszystkim z faktem powrotu do kraju Leona Schillera. Mirowi Krasnowieckiemu udało się pozyskać Leona Schillera dla Teatru Wojska. Na następny sezon teatralny kierownictwo objęli Leon Schiller jako dyrektor i Władysław Krasnowiecki jako jego zastępca. Skasowana została t. zw. „estrada poetycka", przypadkowe laboratorium mistyki, które naprzykrzyło się robotniczej Łodzi. Teatr Wojska zapowiada natomiast imprezy, któreby rzeczywiście docierały do robotniczej publiczności.

Równocześnie Ministerstwo Kultury i Sztuki zniosło „Teatr poetycki" prowadzony przez reżysera Wiercińskiego, instytucję zupełnie fikcyjną, gdyż w ciągu całego sezonu „Teatr poetycki wystawił tylko jedną sztukę. Elokwentne uzasadnienia teoretyczne teatrologa Korzeniowskiego, które słyszeliśmy na publicznych dyskusjach w „Klubie Pickwicka" i rozważania, którymi częstowano nas w programach, nie mogły nikomu, kto trzeźwo rozumuje, wyjaśnić, dlaczego potrzeba utalentowanemu reżyserowi szyldu odrębnej instytucji.

Reorganizacja Teatru Wojska została pomyślnie dokonana. Nie obyło się naturalnie bez tarć z kilkoma malkontentami, ale figlarne metody stosowane przez malkontentów przebrały miarę zwykłych zametów życia teatralnego. Faktem jest, że kierownictwu Teatru Wojska rzucano kłody pod nogi. W dniu, kiedy Leon Schiller przybył do Łodzi, Prezes ZASPu Dobiesław Damięcki publicznie witał znakomitego reżysera w imieniu „aktorów socjalistów". Są ludzie, którzy używają słów w innym sensie, niż to przyjęte jest w społeczeństwie. Wkrótce okazało się, ile ma wspólnego prywatny „socjalizm" prezesa ZASPu z ideologią socjalistyczną. Po ustaleniu kierownictwa Teatru Wojska, zaczęto rozpuszczać fantastyczne wiadomości, jakoby zarząd TURa, instytucji, jak wiadomo, kierowanej przez rzeczywistych wyznawców socjalizmu i przedstawicieli obu partii robotniczych, odmówił dalszej współpracy z Teatrem Wojska. Kłamliwe wiadomości o stanowisku władz TURa, które w owym czasie nie zdążyły się jeszcze zebrać, przeniknęły nawet do prasy łódzkiej. Po tej śmiesznej mistyfikacji prezes ZASPu, już na odchodnym z Teatru Wojska, spróbował zaskoczyć dyrekcję innym figlem. Odbyło się osobliwe zebranie, jakoby zebranie filii ZASPu, tylko że nie wszystkich artystów powiadomiono, natomiast wmieszano w aferę kilku przedstawicieli rady załogowej, równie zdezorientowanych, jak zebrani artyści. Dyskutowano na tym zebraniu, czy wystawienie „Krakowiaków i górali", które, jak wiadomo, Leon Schiller przygotowuje na otwarcie następnego sezonu, nie jest zbyt kosztowną imprezą. Figlarze zapomnieli zasłonić portret Bogusławskiego, który uśmiechał się wyrozumiale, wspominając nakład kosztów i pracy włożonych w „Elektrę" Giraudoux, albo raczej mile wspominając owych zacnych ziomków, owych współczesnych, dla których „Krakowiacy i górale" byli sztuką niepożądaną, bo zbyt racjonalistyczną. Na tym samym zebraniu zaskoczono Bogu ducha winnych artystów jakimś listem pożegnalnym czy cenzurką wystawioną Mirowi Krasnowieckiemu. Zapomniano tylko zaznaczyć, kto prowadził pierwszą grupę artystów - żołnierzy do kraju, kto zbudował pierwszy i najlepszy teatr w wyzwolonym kraju, kto w Lublinie, Krakowie i Łodzi w najcięższym okresie roztaczał opiekę nad jednostkami wartościowymi dla teatru bez względu na ich przekonania społeczne i związki polityczne. Miły upominek pożegnalny pod patronatem prezesa ZASPu nie był przeznaczony do opublikowania. Tak przynajmniej zapewniono garstkę artystów. Tego samego dnia usiłowano zamieścić go w prasie łódzkiej. Rzecz była obliczona na efekt zewnętrzny. Niechże więc ma swój efekt. Tu l'as voulu, Scapen!

Nomen omen. Rolę głównego figlarza odegrał utalentowany aktor Jacek Woszczerowicz, najbardziej roztargniony artysta, jakiego Łódź w ostatnim sezonie widziała. We francuskiej sztuce „Ostrożnie, świeżo malowane" ten utalentowany aktor przez roztargnienie zamiast postaci prowincjonalnego drobnomieszczanina zademonstrował postać z Dostojewskiego, jeszcze przedtem nastraszył widownię Czarowicem z „Róży", a ostatnio psychologicznie pogłębił rolę Skapena aż do takiego stadium autoironii, że opluł pestkami pierwsze rzędy widowni. Ostatnią garść pestek zachował dla kolegów. Zaspowiec Woszczerowicz poczynił rewelacyjne pod względem ideologicznym i prawnym odkrycie, że skoro Ministerstwo zniosło „Teatr poetycki", to umowy artystów zawierane z Teatrem Wojska tracą ważność. A więc były w Teatrze Wojska grupy i grupki skupiające się wokół fikcji? To pytanie, postawione w swoim czasie na łamach „Robotnika" i „Kuźnicy", na szczęście straciło swoją aktualność. Artyści Teatru Wojska będą mogli w przyszłym sezonie spokojnie pracować na terenie oczyszczonym z grup i grupek, a przebytych kilka tygodni niepokojów i burz w szklance wody, posłuży im na przyszłość za ostrzeżenie przed figlami Skapenów.

RKM

Dwie farsy

Nie tylko scenka Teatru Syrena w Bagateli, ale i scena Kameralnego Teatru Domu Żołnierza podnosi obecnie codziennie kurtynę, aby publiczność rozśmieszyć, rozbawić. Teatr Kameralny wystawia „Dzień bez kłamstwa" Montgomery'ego, Syrena zaś — „Żołnierza Królowej Madagaskaru". Obie sztuczki stare jak świat — i obie zawsze dotychczas niezawodne, gdy chodziło o wzbudzanie wesołości na naszej starej przedwojennej widowni.

Coś się jednak stało dziwnego z tą widownią. Przygody starszych panów w garderobie „niebezpiecznej" aktoreczki nie rozśmieszają nas zupełnie, a niewinne kłopoty człowieka mówiącego prawdę — też nie bardzo. Czy może straciliśmy przez te lata wojny szlachetne poczucie humoru? Fakty wskazują, że nie. Powód jest inny: Mianowicie nic ściślej i wierniej nie przylega do epoki — niż humor.

Zachodzą procesy przemian społecznych— publiczność w każdej epoce jest inna. Dzisiaj, po wojnie, jest już również inna od publiczności z przed dwudziestu laty.

Jeżeli chodzi o „Dzień bez kłamstwa", to — sztukę tę — moim zdaniem — należy grać w tempie ogromnie intensywnym. Niezbyt głęboki dowcip kwestii i sytuacji tylko wtedy będzie jakotako błyszczał, gdy te kwestie będą niemal zahaczać o siebie nawzajem, gdy te sytuacje będą zmieniać się błyskawicznie. W takiej sztuce wszelkie „psychologizowanie", jakiego się tu dopuszczono — nie ma chyba zbyt wielkiego sensu.

Tym niemniej — Kurnakowicz grał rolę E. M. Ralstona tak interesująco, że on to właściwie stał się centralną postacią zamiast Boba Benneta. Bo też poziom gry reszty zespołu był już o wiele niższy, nie wyłączając niestety nawet tak znakomitego i wytrawnego aktora jak Kochanowicz, który w postać Van Dusena nie umiał jakoś tchnąć życia. Lepszy pod tym względem był już Pastor, zagrany przez Żukowskiego.

W „Żołnierzu Królowej Madagaskaru" — Mira Zimińska była niewątpliwie zabawna jak zawsze. Obok niej najlepszy — Sempoliński. Widowisko całe pełne było werwy — aż szkoda, że dowcip tej sztuczki już nas tak mało dziś bawi.

jk

NOTY

Pytanie

W Krakowie na trzecie pytanie referendum odpowiedziało „nie" 43 tysiące głosujących.

Księże Biskupie, Panowie Profesorowie, Pisarze „Tygodnika Powszechnego" — kto tworzy atmosferę umysłową Krakowa?

rkm

„Panowie nie macie prawa milczeć w tej sprawie"

Demoralizacja powojenna jest przyczyną, że mało się dziś zwraca uwagi na cierpienia, nieraz bezwiednie zadawane przez ludzi zwierzętom i że niewielką przejawia działalność Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami. Może też i dobrze się stało, że „Tygodnik Powszechny" (nr 26-67) tę sprawę poruszył. Bo brak wrażliwości na mękę zwierzęcia prowadzi niechybnie do zwyrodnienia i sadyzmu i wypadki zadawania bólu należy nie tylko potępiać, ale, jak to miało miejsce przed wojną, karać.

„Psy na łańcuchu, konie ciągnące obciążone wozy, muchy godzinami konające ma lepie" stały się przyczyną, że anonimowy autor „był oburzony i rozgoryczony. Katolicy nie powinni być obojętni wobec okrucieństwa popełnianego na zwierzętach. Okrucieństwo takie jest hańbą! Zwierzę jest bezbronne. Panowie nie macie prawa milczeć w tej sprawie!". Kilka wierszy dalej czytamy, że „mucha na lepie też cierpi. I, że milczeć o tym nie wolno. Wojna winna była właśnie wyostrzyć, wysubtelnić naszą wrażliwość na cudzy ból, a nie stępić ją"...

Przejrzałem ostatnie numery „Tygodnika Powszechnego". Szukałem potępienia męczenia ludzi. Szukałem potępienia mordowania ludzi. Ludzi bezbronnych, napadanych na szosie za swe przekonania, wyciąganych z pociągów i mordowanych za swe pochodzenie, zabijanych zza węgła za swą działalność. Szukałem potępienia (jakże licznych!) morderstw popełnianych na Żydach i na demokratach. Szukałem, szukałem i nie znalazłem. A sądziłem że ważniejsze to od cierpień muchy na lepie.. Wybaczcie mą naiwność, proszę

mm

Albowiem nie wiedzą co piszą

Kazimierz Koźniewski zrecenzował w nrze 26 (67) „Tygodnika Powszechnego" angielską „Księgę Zwycięstwa" — „The Victory Book", wydaną przez Wielką Brytanię w rocznicę zakończenia wojny. Książka, właściwie „ślicznie wydany album" jest zadedykowana „wszystkim ludom świata, które dzierżyły płonącą pochodnię wolności w najczarniejszej godzinie ludzkości" jaką była miniona wojna. Ano, bardzo to uroczysta dedykacja i napewno wezmą ją sobie do serca Jawajczycy i Annamici, Żydzi palestyńscy i Hindusi, ci wreszcie wszyscy, którzy „dzierżyli ową płonącą pochodnię", pomagając „w najczarniejszej godzinie ludzkości" narodowi angielskiemu. Ale nie o to właściwie chodzi. Album zamknięty jest modlitwą „Ojcze nasz", podaną w archaicznej angielszczyźnie i o tej to modlitwie pisze Koźniewski, tryumfalnie kończąc swoją recenzję: „Modlitwa „Ojcze nasz" w dniu Zwycięstwa, modlitwa na końcu „The Victory Book" — oto współczesna Brytania".

Spalone wsie indonezyjskie, prześladowani demokraci greccy, aresztowani bojownicy Palestyny, czarni niewolnicy Afryki Południowej, głodzeni Hindusi, podbici Annamici — jakaż to Brytania, ob. Koźniewski?

mm

Szał czyli precz z teorią Darwina

W II półroczu 1945/46 wprowadzono naukę prehistorii do szkół powszechnych. Wydano podręcznik dla uczniów (autorstwa p. Przeworskiej, nawiasem mówiąc nieco naiwnie napisany) i podręcznik dla nauczycieli, jako że jest to dla nich zupełnie nowy przedmiot. Aby umożliwić uzupełnienie nikłych wiadomości uczniów Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych (PZWS) poświęciły 2 tomiki swojej pożytecznej biblioteczki popularno-naukowej (seria przyrodnicza) zagadnieniom „Powstania życia na ziemi" i „Rozwojowi świata organicznego". Obie broszurki autorstwa Wł. Michajłowa w sposób przystępny i jasny zapoznają ucznia z teoriami naukowymi dotyczącymi tych zagadnień. Jest więc omówienie witalizmu z jego założeniem i wiarą w działanie jakiejś cudownej, nadprzyrodzonej siły, która tchnęła życie w materię, jest i omówienie monizmu i udowodnienie, że materia organiczna żywych istot nie różni się zasadniczo od innych rodzajów materii występujących w przyrodzie, przy czym dowody na prawdopodobieństwo tej przyjętej zresztą przez prawie cały świat naukowy, hipotezy przytacza Michajłow w sposób przekonywujący i ścisły. Na tym tle łatwiej mu przedstawić teorię powstania życia na ziemi z teorią ewolucji na czele.

Tak kilkanaście lat już minęło od owych słynnych amerykańskich procesów, w których skazywano nauczycieli za wykładanie darwinizmu. Świat poszedł naprzód i wreszcie nawet u nas zdecydowano się wprowadzić te zagadnienia do szkół. Inicjatywa to ze wszechstron pozytywna i pożądana, bo rozszerzająca horyzonty myślowe naszego młodego pokolenia. Inicjatywa pożyteczna i konieczna, ale „Tygodnik Powszechny" wciąż jeszcze nie może znieść możliwości małpiego pochodzenia. Szczególnie denerwuje to p. Jana Karolczyka który w artykule pod znamiennym tytułem „Czy od małpy?" rozprawia się z Haecklem i całą jego teorią. A rozprawia się w sposób iście naukowy. Przytacza więc zdanie Chestertona, który negatywnie zapatruje się na teorie ewolucji, a jak wiadomo Chesterton był wybitnym w tej dziedzinie autorytetem, może jeszcze większym od p. Karolczyka. Potem stwierdza, że „Haeckel po prostu szalał na punkcie swojej ewolucji gatunku ludzkiego", a jego teoria „podana w brutalnej formie stwarza otwarty konflikt z nauką religii, wykładaną w szkole", co już jest wystarczającym argumentem, aby ją ze szkoły usunąć. Ale takich argumentów jest znacznie więcej. A więc że „teoria ta opiera się na bardzo słabych i niewystarczających argumentach", że będzie „doskonałym sposobem zwalczania religii i całego chrześcijaństwa" (mimo swych słabych naukowych podstaw?). Ba, nie tylko „wiarę może zachwiać sekciarski (?) wykład teorii ewolucji", ale może doprowadzić młodzież „odczuwającą odczłowieczenie jako radość" do szału. Bo „już nieraz teoria przyrodnicza odbiła się ujemnie na stanie moralności jednostkowej i społecznej (?). P. Karolczyka rzeczywiście doprowadza ta teoria do szału. „Nie pozostaje nic innego (pisze), jak żądać usunięcia tego wykładu o początku człowieka z lekcji prehistorii". Bo „młodzież powinna otrzymywać tylko stwierdzone przez naukę treści", a teoria ewolucji jest zaledwie hipotezą. Oczywiście w przeciwieństwie do nauki religii, która jest stwierdzona i uzasadniona naukowo. Ale w takim razie czego się obawiać?

P. Karolczyk jest oburzony. O, bo on od małpy nie pochodzi! Tutaj żadna nie nastąpiła ewolucja! — Skoro jest taki pewien, trzeba mu przyznać rację. Swoją osobę chyba dobrze zna.

mm

JAN ROJEWSKI

SIEDEM DNI

Po raz drugi od chwili odzyskania Niepodległości stała się Polska widownią masowego pogromu Żydów. Wszystkie partie polityczne potępiły zajścia; główni winowajcy zostaną niewątpliwie ukarani. Nie wiem jakie będą argumenty obrony: z komunikatu urzędowego wynika, że bezpośredni „gniew ludu" kieleckiego został wywołany umiejętnie rozpuszczoną plotką o „mordzie rytualnym". Potworny ten wymysł doczekał się nawet pewnej niebezpiecznej modyfikacji: pobieranie krwi aryjskich dzieci już nie tylko dla wypieku macy, lecz w celach cudotwórczej terapii. Krwawa legenda średniowiecza podała ręce makabrze hitlerowskich praktyk lekarskich. To nowe wcielenie starego oszczerstwa jest o tyle niebezpieczniejsze, że można nim wywoływać „gniew ludu" okrągły rok. Są widocznie w Polsce i takie ugrupowania, dla których dni przed świętem Wielkiej Nocy są zbyt krótkie.

Wydaje mi się chwilami, że podobne rozmyślania w naszym stuleciu uwłaczają godności piszącego; przekonałem się jednak po wypadkach krakowskch i kieleckich o potrzebie pisania na ten temat. Trzeba pisać dopók choć jeden człowiek w Polsce jest skłonny uwierzyć w mord rytualny. A takich ludzi, jak się okazuje nie brak. Cyfra krakowska i kielecka wystarczy, by w oczach świata skierowanych na Polskę wyczytać przerażenie. Nie pomogą tu żadne tłumaczenia. Ani spuścizna lat okupacji z krwawymi widowiskami płonących ghett i dymiących kominów Majdanka, ani nie przebierające w środkach rozgrywki reakcji. W zajściach kieleckich, bardziej niż zbrodnia przerażają jej bezpośrednie przyczyny. Gdyby Greiser w swoim ostatnim słowie nazwał proces eksterminacji Żydów odwetem narodu niemieckiego za mordy rytualne, zostałby wyśmiany przez samych Niemców. W czasach naszych dziadków padały jeszcze takie argumenty na Bałkanach, dziś już tylko.... w Polsce. Dlatego, jak sądzę, należy w zajściach kieleckich oddzielnie rozpatrzyć zbrodnię i oddzielnie motywy, wysuwane przez ciemne narzędzie tej zbrodni. O ile bowiem łatwości mordowania nauczył się tłum kielecki niewątpliwie od Niemców, o tyle wiara w mord rytualny i wysuwanie tej wiary jako argumentu obrony jest niestety motywem rodzimym. Fatalny skutek wieloletniego poniewierania rozsądkiem, pogardy dla prawd sprawdzalnych zmysłami przy wstręcie do rewidowania poglądów, opartych na tradycji i ślepej wierze.

Niedawno przekonywałem prostą kobietę, że powinna rodzić w klinice położniczej, ponieważ warunki w których mieszka są antysanitarne. Nie mogłem jej przekonać. „W szpitalu straszy" — odparła. Po matce, babce i prababce odziedziczyła mocną wiarę, że o szczęśliwym porodzie nie decyduje pomoc lekarska, lecz wyłącznie... boska. Wyłącznie. W żadnym razie i jedna i druga. Ta sama kobieta straszy swoje dzieci, że jeżeli będą niegrzeczne, Żydzi zabiorą je na mace. Sama też w to wierzy, zwłaszcza po wypadkach kieleckich. Wprawdzie pracowała kiedyś w piekarni i uczestniczyła w wypieku mac, ale czy można wierzyć własnym oczom? O Kielcach pan chyba czytał?

Czytałem i pomyślałem sobie na chwilę, coby to było, gdyby nie Anglicy, lecz Kielczanie sprawowali mandat nad Palestyną. Że też nie przyszło na myśl Anglikom posądzić Żydów o mord rytualny na trzech uprowadzonych oficerach. Mieliby przecież rozwiązane ręce w tej tak skomplikowanej sprawie kolonialnej.

Niespełna dwa lata temu widziałem ofiary Majdanka, których Niemcy nie zdążyli spalić. Twarze tych pomordowanych ludzi wyrażały ból i przerażenie. Nie widziałem ofiar kieleckich; sądzę, że na tych twarzach widniały: ból, przerażenie i pogarda.

Kiedy pomyślę, że na ten sam temat pisał Józef Flawiusz kilkanaście wieków temu — opadają ręce.

Jan Rojewski

Polski Słownik Biograficzny

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Umiejętności, zawiera zwięzłe życiorysy zmarłych działaczy w zakresie naszej historii politycznej, wojskowej, społecznej, gospodarczej, naszej kultury, nauki i sztuki od początków państwowości aż do czasów obecnych.

Przed wojną ukazały się cztery tomy i 4 zeszyty tego wydawnictwa, obejmujące w porządku alfabetycznym życiorysy od litery A do Dr, razem około 4.500 biografii. Całość obliczona jest na 20 tomów i ok. 20.000 życiorysów. Wydawnictwo ukazywało się zeszytami, z których każdy zawierał ok. 180 życiorysów. Polski Słownik Biograficzny stworzył na gruncie naszym wzór naukowej pracy zespołowej, skupiał bowiem pod kierunkiem Komitetu Redakcyjnego (17 członków), a pod patronatem Rady Naukowej (ok. 50 członków) — blisko 750 współpracowników z całej Polski.

Każdy naród o wyższej kulturze postarał się już o wydanie swojego słownika biograficznego. Polska skutkiem katastrof politycznych, dopiero od r. 1935 mogła zacząć realizować takie przedsięwzięcie, ale za to postawiła je od razu na wysokim poziomie. Inwazja niemiecka przerwała pracę i zagroziła jej podstawom Dziesiątki współpracowników padły ofiarą wojny i hitlerowskiego terroru. Zniszczone zostały lub uniedostępnione różne archiwa i zbiory, z których Słownik czerpał materiały. Ocalało na szczęście archiwum Polskiego Słownika Biograficznego, dzięki czemu Redakcja, po przełamaniu pierwszych trudności przystępuje obecnie do kontynuacji wydawnictwa. Wiadomość o oddaniu do druku kolejnego zeszytu P. S. B. (zeszyt 25) wywoła niewątpliwie radosny oddźwięk wśród licznych przyjaciół i odbiorców wydawnictwa. Tempo jednak i poziom zależeć będzie od środków pieniężnych Akademii, oraz od poparcia, jakiego mu udzieli społeczeństwo.

Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego, zwraca się tedy z apelem do szerokich sfer zainteresowanych w rozwoju naszej kultury, a zwłaszcza do zarządów bibliotek naukowych, oświatowych fabrycznych i szkolnych, zarówno państwowych jak i samorządowych o przystąpienie w charakterze stałych prenumeratorów do budowy tego wielkiego dzieła.

Polski Słownik Biograficzny będzie wychodził nadal zeszytami, dając narazie ze względu na trudności techniczne nie więcej niż trzy zeszyty rocznie. Nakład Słownika będzie ze względu na konieczność oszczędzania papieru i kosztu druku — ograniczony. Polska Akademia Umiejętności pragnie go dostosować do istotnego zapotrzebowania bibliotek i czytelników. Cena najbliższego zeszytu w prenumeracie wynosić będzie ok. zł. 200.—. Nowi prenumeratorzy otrzymają prawo pierwszeństwa w zaopatrzeniu się po zniżonych cenach w przedwojenne tomy Słownika. Prenumeratorzy przedwojenni będą mieli możność uzupełnienia kompletów zniszczonych.

Zgłoszenia prenumeraty przyjmuje biuro Redakcji mieszczące się w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków ul. Sławkowska 17, i ono też udziela wszystkich niezbędnych informacyj.

Niedobry znak

Ukazało się czasopismo „Znak". Łudzono się, że będzie to organ postępowych katolików. Na razie „Znak" wygląda na miesięczną imitację „Tygodnika Powszechnego". Ci sami ludzie, ten sam parafiański tupet w stosunku do marksizmu. Aby zaś od razu znaleźć się inter arma, kronikarz „Znaku" wylał trzy kubły pomyj w stronę „Kuźnicy". Pomyliły mu się przy tym sprawy, pomieszali się ludzie. Cytaty z artykułu o Encyklopedii Francuskiej, mają służyć za przykład „metody dyskusyjnej Ważyka i Żółkiewskiego" używanej w notach. Tenże kronikarz tak ocenia mój essay „Pięćdziesiąt lat poezji francuskiej":

„Autor, operując najbardziej zwulgaryzowaną metodą marksistowską i pakując całą swoją erudycję z podręcznika propagandzisty tworzy z poezji przyczynek uzupełniający dla swojej pseudoekonomii i pseudosocjologii. Słoń a warunki ekonomiczne"...

To bardzo nieładnie, że kronikarz miesięcznika który chciałby uchodzić za wyraz myśli katolickiej, porównuje rozwój poezji do słonia. To nie bardzo skromne, jak na katolika, że kronikarz, który myli i sprawy i ludzi, żąda aby wierzyć mu na słowo bo otu. jaka metoda marksistowska jest zwulgaryzowana, a jaka nie. To bardzo niepoczciwie powoływać się na tajemniczy podręcznik propagandzisty, którego nikt z nas nie zna. Już bardziej wypada powoływać się na latające smoki i na węża z Long Island. Co do mnie to przyrzekam poprawę na przyszłość. Ilekroć będę pisać o zmianach, które przyniósł okres imperializmu w układzie życia społecznego, w stylu życia, w obyczajach i pojęciach, w sentencjach filozoficznych i prądach artystycznych, będę się starał uniknąć wulgaryzacji marksistowskiej, będę przyjmował ablucje czystego metafizycznego bełkotu, aby zasłużyć na łaskę kronikarza „Znaku". W pokorze ducha pisze się —

awk

Nietaktowny Lengren

W interesującym, pełnym treści nr 25 „Odrodzenia" przykrą plamą odcinają się rysuneczki p. Zbigniewa Lengrena. Nie zwróciliśmy ostatecznie na nie uwagi, gdyby nie to, że drugi z nich przedstawiający synka z ojcem w muzeum przed pozbawionym głowy, rąk i nóg posągiem, zaopatrzony jest w następujący tekst:

„— Popatrz, tatusiu! To pewno przedstawia prezesa Związku Inwalidów Wojennych!".

Miłe to i taktowne, prawda panie Lengren? Sądzę, że redakcja „Odrodzenia" zamieściła ten rysunek z takim podpisem tylko przez pomyłkę. Był on zapewne przeznaczony do numeru 25 w roku 1967. przez przeoczenie red. Kuryluka dostał się do numeru 25 z roku bieżącego, 1946, zaledwie w rok po zakończeniu drugiej wojny światowej, która okaleczyła kilka milionów ludzi.

rdc

Nieco ciszej, panie Stiller, czyli „Dziś i Jutro" w poezji polskiej

W nr 25 „Dziś i Jutro" znajdujemy utwór p. Roberta Stillera „Ojczyzna" Nie możemy się oprzeć chęci przytoczenia go choćby we fragmencie. Pozwalamy sobie uwydatnić graficznie rzadkie blaski tego utworu, znakomicie zaciemnione układem stroficznym w jakim ogłoszono utwór w „Dziś i Jutro":

„Ojczyzna — milion to szyszaków,
wojaków
co w pierś wzięli grot
i pod
kopyta spadłszy w bój
swych zbrój
i razem ciał odbiegli.
Ojczyzna — to szkarłatna fala
co z dala
ku nam toczy wał
i ciał
nagarnia wciąż na grzbiet
i wnet
zahuczy i nam w uszach"

Jeśli takie jest dziś, to, mój Boże, jakież będzie jutro tej poezji, nawiązującej do baroku ks. Baki?

rdc

ERRATA

W poprzednim (27) numerze „Kuźnicy" opuszczono podpis autora „Przeglądu Prasy" który winien brzmieć: **ph.** W tymże „Przeglądzie" zostało wymienione błędnie nazwisko Emmanuela Mounin. Nazwisko to brzmi: **Emmanuel Mounier.**

CENY OGŁOSZEŃ: 1 kolumna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpaltę

Redaguje Zespół „Kuźnicy". Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmuje we wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-42.

D—09499

Wydawca: Zespół „Kuźnicy". — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" Nr. 4, ul. Żwirki 2.